

BRUCE CHATWIN

Wicekról Ouidah

Z angielskiego przełożył
Paweł Lipszyc

2007

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

The Viceroy of Ouidah

Data wydania:

1980

Wydanie polskie

Data wydania:

2007

Ilustracja na okładce:

Wykorzystano fotos z filmu *Cobra Verde* dzięki uprzejmości Werner Herzog Film

Projekt okładki:

Anna Kłos

Przełożył:

Paweł Lipszyc

Wydawca:

Świat Książki

Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

ISBN 978-83-247-0388-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

*Strzeżcie się, strzeżcie
Zatoki Benińskiej.
Jeden się wydostaje,
Czterdziestu zostaje.*

PRZYSŁOWIE NIEWOLNICZE

1

Rodzina Francisca Manoela da Silvy zgromadziła się w Ouidah, by uczcić jego pamięć mszą żałobną i kolacją. Było typowe duszne marcowe popołudnie. Zmarły nie żył od stu siedemnastu lat.

Na celebrowanie mszy wybrano stiukowy pomnik wzniesiony ku chwale surowości francuskiego katolicyzmu – katedrę Niepokalanego Poczęcia, która wpatrywała się ponad czerwonym placem w mury, gliniane chaty i drzewa wokół fetyszu Pytona.

Po mlecznym niebie szybowały myszołowy. Metaliczne odgłosy świerszczy sprawiały, że upał stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia. Z bananowców zwisały oklapnięte wstęgi liści. Nie było wiatru.

Ojciec Olimpio da Silva przyjechał do miasteczka z seminarium de Saint-Gall. Siwowłosa, w purpurowej sutannie, stał na południowych schodach i przyglądał się krewnym przez okulary w stalowych oprawkach, obracając świetlistą, brązową głowę z dostojnością wieżyczki strzelniczej.

Ojciec Olimpio był nie tylko księdzem, ale także etnografem z powołania. Na Sorbonie słuchał wykładów Bergsona i Marcela Maussa; opublikował skomplikowaną pracę pod tytułem *Les Sacrifices humaines chez les Fons* i nie potrafił rozpocząć zdania bez przysłowka kwalifikującego: *statistiquement... morphologiquement...*

Rozległa się zgrzytliwa muzyka organowa; organista władał ograniczonym zestawem akordów.

Da Silvowie przybyli z Nigerii, Togo, Ghany, nawet z Wybrzeża Kości Słoniowej. Biedacy przyjechali autobusami i taksówkami. Bogacze dotarli prywatnymi samochodami, a najzamożniejsza, madame Hélène da Silva, szerzej znana jako Mama Benz, siedziała z tyłu swego kremowego mercedesa, wachlowała się banknotami o nominale dziesięciu tysięcy franków i czekała, aż nabożeństwo dobiegnie końca.

Cała rodzina znała przodka pod jego brazylijskim imieniem Dom Francisco.

W roku 1812 przybył on z San Salvador da Bahia i przez z górą trzydzieści lat był „najlepszym przyjacielem” króla Dahomeju, zaopatrując go w rum, tytoń, przedmioty zbytku oraz strzelby Long Dane, produkowane nie w Danii, ale w Birmingham.

W rewanżu za świadczone usługi Dom Francisco otrzymał tytuł wicekróla Ouidah, monopol na handel niewolnikami, piwnicę pełną chateau margaux i niewyczerpany seraj kobiet. Umierając w 1857 roku, zostawił sześćdziesięciu trzech synów Mulatów oraz nieznaną liczbę córek, których stopniowo coraz ciemniejsze potomstwo, obecnie równie nieprzeliczone, jak koniki polne, zamieszkało na terenach od Luandy po Dzielnicę Łacińską. Jednak spośród ludzi zebranych na placu tylko piątka odbyła podróż do Europy, a nikt nie był w Ameryce.

Kobiety w zawojach na głowach kuśtykały w stronę katedry, wzbijając kurz stopami zbyt wykoślawionymi i pokrytymi odciskami, by dało się je wcisnąć w buty. Bawełniane suknie ozdobione były liśćmi, lwami i portretami dyktatorów wojskowych. Kobiety wgramoliły się na ławki z tekowego drewna.

Dziewczynki potykały się o sukienki z falbankami; włosy upięto im w warstwy ozdobionych błyskotkami warkoczy.

Ich bracia w obcisłych spodniach przestępowali z nogi na nogę, mnąc czapki Jeunes Militants z czerwoną gwiazdą.

Młodszy mężczyźni mieli na sobie narodowe stroje, starsi garnitury z białego płótna lub w kolorze zblakłego khaki.

Starsi da Silvowie wiedli puste, smutne życie. Czasy handlu niewolnikami opłakiwali jako utracony Złoty Wiek, kiedy ich rodzina była bogata, sławna i biała. Brzemie reumatyzmu i poligamii przygięło ich do ziemi. Skóra zaczynała pękać od gorącego pustynnego wiatru; potem przychodziły deszcze, które bębniły o liście kaladium i obryzgiwały ściany domów czerwonym błotem.

Mimo to kurczowo trzymali się swoich kepi i korkowych hełmów jako przejawów minionej świetności. Chociaż utracili znajomość języka portugalskiego, nazywali siebie „Brazylijczykami”. Ludzi zaledwie o odcień ciemniejszych od siebie określali mianem „czarnych”. Na Dahomej mówili „Dahomej” jeszcze długo po tym, jak prezydent zmienił nazwę kraju na Benin. Każdy z tych ludzi trzymał wśród chromolitografii świętych podobiznę Dom Francisca: dzięki niej czuli więź z wiecznością.

Ojciec Olimpio stanął przed ołtarzem i kojącym barytonem zaintonował doroczne przesłanie: Ojciec ich wszystkich nie umarł, ale osiągnął życie wieczne. Teraz patrzy na swoje dzieci z miejsca spoczynku w niebiosach. Służy im radą, czerpiąc ze swych niewyczerpanych zasobów mądrości, „szczególnie – dodał cicho ksiądz – w obecnej godzinie waszej próby”.

Podczas *Credo* panie westchnęły, dźwignęły uda i wstały z ławek. Litery, lwy, liście i dyktatorzy wojskowi zaszeleścili i ułożyli się w inny wzór.

Pani Rosemary da Silva, żona księgowego z Lagos, nie chciała słuchać tych bluźnierstw: była metodystką. Kiedy wierni uklękli do *Sanctus*, pozostała w ławce; siedziała też podczas *Agnus Dei*. Jej mąż Ernest siedział obok żony, pił się w angielskim blezerze i żałował, że tu

przyjechała. Wezbrała w nim fala miłości i litości dla krewnych. Zona robiła wszystko, żeby wprawić go w zażenowanie.

Pani da Silva ostentacyjnie poprawiła słomkowy kapelusz z wąskim rondem. Wygładziła fałdy białej pikowanej sukni i ze stukotem przycisnęła do piersi trzy sznury szklanych koralików. Kiedy wszyscy da Silvowie, z nabożnie pochylonymi głowami, ruszyli do komunii, spojrzała w górę na sufit, zastanawiając się, kiedy się zawali.

Budynek cuchnął rozkładem. Żelazne filary w przejściu zżerała rdza. Niebieskie deski na dachu próchniały. Ktoś ukradł gołębicę pokoju, inkrustowaną w stole ołtarzowym. Wprawdzie Najświętsza Maria Panna wciąż przyzywała z niszy, ale jej dłonie spętały pajęczyny.

Dało się też zauważyć parę jeszcze bardziej widocznych zmian: nad żłóbkiem unosiła się czerwona gwiazda; twarze Świętej Rodziny odmalowano w kolorze Baltazara, a konfesjonał zdobiły szkarłatne werble.

Po błogosławieństwie rodzina zaśpiewała kantyczkę *Mido gbe we (Salve Regina)* w języku fon. Ojciec Olimpio zatrzasnął mszał, a mali chłopcy wybiegli na słońce.

Da Silvowie ustawili się do pamiątkowego zdjęcia na katedralnych schodach.

Ceremonią dyrygował Agostinho Ezekiel da Silva. Ptasiej postury džentelmen w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat był jednym z czworga żyjących wnuków Założyciela i głową rodu.

Skóra opinała mu łysą, lśniąca głowę, a bezzębne usta układały się w idealne O. Bez słowa komenderował laską o srebrnej główce: starsi mieli usiąść na krzesłach, młodzi powinni stanąć na schodach, a rodzice wypełnią przestrzeń pośrodku.

Dwaj rachityczni chłopcy, Modeste i Pierre, pomagali staruszkowi zebrać grupę. Nie mogli dojść do ładu z paniami.

– *Mettez-vous la, madame!*

– *Bougez, madame!*

– *Ne bougez pas, madame!*¹

Mimo to kobiety wierciły się, sprzeczały, rozpychały łokciami i odpychały siostry na bok. Mężczyźni nie sprawowali się zresztą lepiej.

Wuj Procopio, emerytowany flecista konserwatorium w Dakarze, recytował *Odę na śmierć Republiki Dahomeju*. Intelktualista Gustave kazał mu się zamknąć. Africo da Silva opisywał swoją stację benzynową. Karl-Heinrich mówił, że Państwowe Koleje Togo były punktualne, podczas gdy stary Zéférino, medium, opowiadał o rozmowie, jaką za pomocą deseczki spirytystycznej odbył z bratem, pułkownikiem Tigré da Silva, przebywającym na wygnaniu na Polach Elizejskich. Pułkownik jak zwykle popijał szampana i przyglądał się dziewczynom.

¹ – Niech pani tu usiądzie. – Niech się pani przesunie. – Proszę się nie ruszać.

Tymczasem fotografa ogarniała rozpacz.

Był to młody człowiek nazwiskiem Cyriaque Cabochichi, który niezwykle poważnie traktował swój zawód. Miał ogoloną głowę w kształcie tykwy, cerę tak czarną, że wydawała się błękitna, a na plecach pomarańczowej kamizelki widniała liliowa owieczka i napis „Foto Studio Agnew Pascal”.

Ukryty pod czarnym suknem fotograf stał za statywem i oburącz dawał znaki Modeste’owi i Pierre’owi, żeby ścisnęli panie z obu stron tak, by znalazły się w obiektywie aparatu.

Chłopców ogarnęło szalone podniecenie. Popychali kobiety od tyłu, częstowali je klapsami, szczypali, one jednak nie reagowały. Ich uwagę pochłaniała Świątynia Pytona, a zwłaszcza *féticheur*, którego pewien europejski turysta usiłował sfotografować. Starszy mężczyzna, owinięty w pasie niebieską tkaniną, stał na jednej nodze z wyrazem najwyższej pogardy na twarzy, podczas gdy pyton pocierał głową o jego lewy sutek, owinąwszy ogon wokół przepukliny w pępku.

Zachodzące słońce rzucało krwawe cienie, złocąc ząbkowane liście papai.

– Zaraz zrobi się ciemno – jęknął Cyriaque Cabochichi, co przywiodło kobiety do opamiętania.

Nic nie mogło odebrać im przyjemności pozowania do zdjęcia. Demonstrując jedność, jeszcze przed chwilą nie do pomyslenia, kobiety obróciły się bokiem jak do congii, dzięki czemu rząd się skrócił.

Papa Agostinho postawił sobie na kolanach fotografię Dom Francisca. Jego najważniejsza żona, Yaya Felicidade, usiłowała opanować niesforną pierś. Gustave przekrzywił melonik, Procopio podkręcił węża. Modeste uniósł zielony atlasowy transparent Société Brésilienne du Carnaval, a kobiety uśmiechnęły się do aparatu: w ustach błysnęła im biel przetykana złotem.

Pierwsze nietoperze leciały na południowy wschód. W powietrzu unosiła się nieznaczną woń guajaw i zwietrzałego moczu. Cyriaque Cabochichi zdjął pokrywkę z obiektywu, po czym znowu go zasłonił.

Z placu Niepokalanego Poczęcia rodzina ruszyła do Fortu Portugalskiego.

Dwaj chłopcy grali na tam-tamie. Młodszy wywijali marakasami, uderzali w gongi, obracali w piachu oponami rowerowymi i robili gwiazdy. Pierre niósł wieniec z plastikowych różowych róż, który zamierzał złożyć w kaplicy Najświętszej Panienki.

U wylotu ulicy Monsignore Steinmetza procesja obeszała zwalony pień bombaksa. Minister spraw wewnętrznych uznał to drzewo za „restaurację czarowników” i kazał je ściąć po tym, jak jeden z żandarmów przyłapał pewnego staruszka na przybijaniu amuletu do pnia. Amulet składał się ze szponu nietoperza, rozgniecionych pajaków oraz wycinka z gazety przedstawiającego prezydenta.

Da Silvowie dotarli na plac Marché Zobé. Zwaliste mamuśki sunęły do domów w

przeciwnym kierunku. Długopalczy handlarze z plemienia Mandingo składali w blaszanych kufrach zwoje indygowych tkanin. Czarownik zawinął w szmatę odchody ryby tęczowej, a sprzedawca losów loterii państwowej po raz ostatni nawoływał wiernych graczy, *fidèles amis de la chance*.

O tej porze kapłani fetyszów zarzynali drób nad Aizanem, bogiem targowiska, kamiennym omfalosem stojącym samotnie na otwartej przestrzeni.

Również o tej porze intelektualści Ouidah zbierali się w Librairie Moderne, by dyskutować na temat najnowszych książek, chociaż zapasy biblioteczne zredukowano do starych numerów pisma „La Femme Soviétique”, *Mysli* Kim Ir Sena, powieści socrealistycznej *Le Baobab*, *Bajazeta* Racine’a, dzieł wszystkich Engelsa oraz słoików z brylantyną papuziego koloru.

Była to też pora kolacji. Setka kopających lamp rozjaśniła stragany, gdzie pogodne matrony serwowały z tykw piwo z prosa, smażyły frytki w oleju palmowym, zawijały kleik kukurydziany w liście bananowca lub piekły mięso agouti, dużego szczura o żółtych zębach.

Dłonie sprzedawczyń – różowe, wilgotne i czułe jak psie jęzory – sięgały po pieniądze klientów. Niemowlęta drzemały owinięte w bawełniane zawoje. Wszystkie spały: żadne dziecko nie płakało.

Jedna z kobiet wyrwała pióro ze skrzydła żywego ptaka i podlubała nim w ucho.

– W ten sposób wyjmuję się ludzki łój – poinformował europejskiego turystę mały chłopiec.

Turysta, który zbierał tego rodzaju informacje, poklepał chłopca po głowie i dał mu franka.

– Lubię białych, bo biali są hojni – przyznał się mały.

Mama Benz, o wiele za tęga, by iść, jechała mercedesem i kiedy szofer wyprzedził mamuśki, zatrzymała się, by zjeść agouti w sosie. Białą emaliowaną miskę podała sprzedawczyni, która nałożyła jej potrawę.

– Mama Benz jest mięsożerna, hę? – powiedział chłopiec.

Grupa małych chłopców, błyskając w półmroku zębami, buczała ogłuszająco:

– *Ago! Yovo! Ago! Yovo!* – co oznacza: „Odejdź stąd, białasie!”.

Tymczasem da Silvowie skręcili w prawo w ulicę Lenina, minęli hotel Windsor, hotel Anty-Windsor, aż dotarli do baru Ennemi du Soir, gdzie wuj Procopio wpadł na drinka.

Ścianę zdobiła ratanowa mata przedstawiająca trzy żyrafy przemierzające chiński krajobraz, obok których ktoś napisał niebieską kredą:

Pies wyje,
Karawana idzie dalej.

Przed barem stały dwie taksówki: Samochód Zaufania i Dziecięce Zaufanie. Wcześniej

zza żaluzji dobiegały z sypialni miłosne pojękiwania, ale teraz kierowcy pili piwo z dziewczynami z baru, a w radiu prezydent wyszczeniwał pierwszy wieczorny monolog.

Najmłodsza z barowych dziewczyn krzyknęła i ze zdumienia obnażyła pachę, kiedy wuj Procopio uklonił się, strzelił obcasami i powiedział:

– Panienko, mam chęć na chartreuse.

Dziewczyna utkwiała wzrok w jego niewiarygodnych wąsach, instyktownie nałala z butelki zielonego likieru i nie odrywała od niego oczu, dopóki nie wychylił kieliszka i nie odszedł.

Wszyscy młodzi marksści wylegli na ulicę, żeby popatrzeć na przejeżdżającego mercedesa.

W końcu Da Silvowie dotarli do fortu i złożyli wieniec.

Obejrzeni Pomnik Niepodległości – należącego do ostatniego portugalskiego mieszkańca spalonego Citroëna ustawionego na betonowym cokole.

Ponad południowym bastionem popatrzyli na szarą lagunę, mangrowce i linię fal.

Arabska kaligrafia przywodziła na myśl płynącego do domu wioślacza.

Łagodne światło przesuwalo się po drodze na plażę, po której nadszedł Dom Francisco i po której słowo „wudu” przedostało się do Ameryk.

Potem Da Silvowie wrócili do Simbodji.

Siedziba ich rodu była zespołem domów otoczonych glinianym murem położonym na zachód od postaju taksówek. W ciągu tygodnia poprzedzającego nabożeństwo żałobne piekielne wrzaski ptaków wikłaczy tonęły w odgłosach skrobania, łupania, mielenia i skwierczenia. To potomkowie Dom Francisca przygotowywali ulubione potrawy swego przodka.

Dziewczęta wracały z targu z dzbanami pełnymi świńskiej krwi. Chłopcy, ze sznurami podrobów przerzuconymi przez ramię, jechali na rowerach. Rybacy przynosili kosze ostryg i krabów o niebieskich szczypcach. Staruszkowie przynosili z lasu liście. Staruszki kandyzowały jajka w miodzie.

Sześćoletni Grégoire da Silva wskazał na rząd mrówek maszerujących do wyłączonej lodówki i powiedział:

– Lodówka istnieje.

Modeste i Pierre spędzili ten tydzień na malowaniu morelowym wapnem ścian prywatnej kwatery Dom Francisca – dwóch długich, niskich domów, stojących pod kątem prostym do głównego podwórza.

Obydwaj chłopcy zdjęli koszulki, ale założyli czapki z gazety, żeby wapno nie pochlapało im włosów. Malowali kanty nad nadprożami i z niesłychaną starannością miesza li kolor na drzwi i okiennice, kolor, który nie był ani czarny, ani fioletowy, ani brązowy, ale był kolorem

ich skóry.

Później zabrali się do starego salonu gier.

Z japońskiej porcelanowej miseczki wyrzucili martwe muchy. Naprawili zepsuta spluwaczkę, a do zapadniętej wiklinowej sofy przybili dyktę. Obejrzeni resztki stołu bilardowego, nie mając pojęcia, jak się go używało; miotełką ze strusich piór przesunęli po ramach obrazów, ponieważ salon był też galerią portretową.

Na pomalowanych na niebiesko ścianach wisiały portrety Da Silvów, od Założyciela do obecnej głowy rodu.

Dom Francisco, w szkarłatnej mycce, patrzył wilkiem spod zrośniętych brwi. Przesłodzony obraz namalował techniką impastu dwadzieścia lat po śmierci Dom Francisca wędrowny artysta sycylijski, który utknął w Ouidah w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku i najwyraźniej zarabiał na życie, malując podobizny Garibaldiego.

Znacznie bardziej udany był portret syna Dom Francisca, drugiej głowy rodu, Isidora da Silvy, namalowany w Bahii w 1837 roku, z okazji jego urodzin. Młody Mulat-dandys w niebieskim surducie, atlasowym krawacie i białej satynowej kamizelce w kwiaty opinającej brzuch został sportretowany w bibliotece pełnej książek. Jedną dłonią ścisnął kłapę, drugą ujął brylantową gałkę laski.

Portrety braci Isidora, Lina i Antonia, również były dziełem sycylijskiego malarza. Sepiowa fotografia przedstawiała Cândida, piątą głowę rodu, w mundurze honorowego pułkownika portugalskiej piechoty. Szereg portretów zamykała oprawiona w ramę karta z katalogu wystawy w Paryżu w tysiąc dziewięćsetnym roku, na której Estevão da Silva i jego syna Agostinha Ezekiela prezentowano jako *Fils et Petit-Fils du Négrier*.

Sam Dom Francisco spał pod łóżem, w pokoju wychodzącym na ogród czerwonej ziemi i plastikowych kwiatów, gdzie jaszczurki wygrzewały się na białych marmurowych grobach. Pokój ten był domeną praczki Yayı Adeliny, która nikomu nie pozwalała tam wchodzić bez zezwolenia.

Pochodzące z Goi łóżo z baldachimem miało hebanowe wsporniki i deskę szczytową wysadzaną medalionami z kości słoniowej. Jednak najbardziej niezwykłym przedmiotem w pokoju była gipsowa figura świętego Franciszka z Asyżu w brązowej sutannie. Święty, przepasany sznurem z węzłami, patrzył na zatęchłą pościel swego imiennika i wznosił ręce do modlitwy.

Na wmurowanej w podłogę tablicy z białego marmuru widniał napis:

FRANCISCO MANOEL DA SILVA

Nascido em 1785 Brazil

Fãlecido a 8 de março 1857 em Ajuda (Ouidah)

Na wieńcu z kwiatów arum widniał napis: *Pour Notre Illustre Aïeul!*², a na półce stał połączony krucyfiks, żółknący obrazek Ecce Homo oraz srebrny słoń, symbol rodu.

Yaya Adelina wielbiła przodka do tego stopnia, że na stoliku przy łożu trzymała otwartą butelkę dżinu Gordona na wypadek, gdyby zmarły się obudził.

Każdego ranka, jeśli Dom Francisco zechciałby się umyć, nalewała wody do srebrnego dzbana, odlanego z talarów Marii Teresy, które stopiły się, kiedy magazyn zapalił się od brytyjskiego pocisku w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku.

Co pewien czas Yaya Adelina zdejmowała białą tkaninę, zakrywającą zatknięty w podłogę zardzewiały żelazny przedmiot podobny do parasola, oblepiony krwią i piórami.

Był to asin, dahomejski ołtarz umarłych.

Na dwa dni przed uroczystością podpułkownik Zossoungbo Patrice z Sûreté Nationale wywołał wielkie poruszenie, przerywając sjęstę Papy Agostinho i zakazując ceremonii.

Podpułkownik miał dwadzieścia cztery lata, długie zakręcone rzęsy i zielone spodnie od munduru komandosa wyprasowane na kant. Za pas zatknął dwa granaty w kształcie buteleczek z perfumami.

Papa Agostinho owinał ręcznik wokół brzucha i rozkołysał fotel na biegunach, a młody rewolucjonista chodził tam i z powrotem, wymachując północnokoreańskim pistoletem maszynowym dla podkreślenia istotnych punktów swojej wypowiedzi.

– Festyny rodzinne to barbarzyński zwyczaj i fetyszystyczny przeżytek okresu kolonialnego... – krzyczał.

Ale popołudnie było gorące, a podpułkownik zmęczony. Jego głos przeszedł w dziecięcy pisk. Przerażony, że nie wywiera odpowiedniego wrażenia, poczuł ulgę i wdzięczność, kiedy Papa Agostinho złożył bardzo skromną propozycję finansową. Zezwolił rodzinie na uroczystość pod jednym warunkiem (musiał postawić warunek): o ósmej musieli wysłuchać przemówienia prezydenta.

Potem, uśmiechając się promiennie i niewinnie, uchylił czapki jak uczeń i wycofał się tyłem. Po drodze zmiądzzył begonię.

Tamta wizyta podpułkownika tłumaczyła obecność brązowego plastikowego radia, z którego grzmiała muzyka wojskowa, kiedy goście schodzili się na kolację.

Stół przykryto ceratą w czerwoną kratę. Żółte światło lamp naftowych spowijało korzenie baniana. Na tle nieba rysowały się czarne, aksamitne łuki dwóch mangowców migoczących od świetlików.

Nigdy, nawet w czasach Dom Francisca, Ouidah nie była świadkiem tak tłustej uczty.

Świńskie łby nasmarowano strączkami ketmii i imbirem. Fasolę posypano mąką maniokową. W pieprzowym sosie srebrzyły się ryby. Podano ragoût z perliczek i kwiatów

² Dla naszego dostojnego przodka.

seri, będących ponoć afrodyzjakiem. Na talerzach wznosiły się sterty smażonych kogucich grzebieni, sałatki z marchwi i papai, pasty z krewetek, orzechów nerkowca i mięszu kokosowego.

Nazwy brazylijskich potraw były na ustach wszystkich: *xinxin de galinha*, *vatapà*, *sarapatel*, *muqueca*, *molocoto*. Podano słodczyce z tamaryszku i tapioki o fallicznych kształtach, ambrozję, *bolo*, *baby* i sterty złocistych ciastek.

Yaya Adelina, z ogoloną głową, w bawełnianym zawoju ozdobionym pierścieniami Saturna, ociężale chodziła wokół stołu i nakładała sobie po trochu każdej potrawy do naczynia z tykwy, żłobionego w totemiczne zwierzęta.

Wuj Procopio podszedł do *petits-pains au chocolat*³, mruczając:

– *Byzance!*

Już miał wsunąć bułeczkę między wąsy, kiedy Adelina klepnęła go w plecy:

– Wstydziliby się pan! Jeść przed Ojcem!

Na stole przed oknem sypialni Dom Francisca postawiła naczynie z tykwy i przykryła je tkaniną z angielskim haftem.

Wszyscy czekali, aż coś się wydarzy.

Zadźwięczał gong. Zadudnił bęben. Grégoire da Silva wybiegł z cienia, krzycząc:

– Dom Francisco! Dom Francisco!

Na podwórze wyległa procesja gości ubranych inaczej niż wcześniej.

Mężczyźni w białych przepaskach weszli z wizerunkami owiniętymi w czerwoną tkaninę. Jedni nieśli kurczaki, inni brzuchatą kozę. Wszyscy śpiewali pieśń Założyciela *Stoń zarzuca sieć na ziemię i niebo...* Ciały natarli sobie białym pudrem, a blizny po nacięciach rytualnych wyglądały jak wosk ze świecy.

Trzej młodzi dobosze przywoływali Przodka z powrotem na ziemię. Pot lepili im koszule do ciała; ciemne plamy pod pachami wyglądały jak atrament na bibule.

Papa Agostinho, w koralowej kryzie, miał na głowie szapoklak z naszytymi motylami i krwawiącym sercem. Jego syn, Africo da Silva, był ubrany w krynolinę z żółtymi płatkami, natomiast Yaya Felicidade, w chustce w purpurowe bratki, wymachiwała dziewiętnastowieczną angielską szablą marynarską.

Rytm bębnów udzielił się kobietom, które zaczęły dygotać w tańcu. Zniewieściła tancerka w różowych atlasowych spodniach jęknęła, zatoczyła się, wreszcie runęła jak kłoda.

Inne kobiety uklękły przed oknem, zaczęły ugniatać spętaną kozę i wyć:

– *Za! Za! Zanku!* Nadeszła noc! Noc!

Kurczaki zaskrzeczały, po czym ucichły. Nóż opadł na szyję kozy i życie uszło z niej z rżeniem.

Okiennice rozwarły się na oścież i w sypialni swego dziadka ukazał się Papa Agostinho.

³ Bułeczki nadziewane czekoladą.

Kobiety wręczyły mu pieniącą się czerwoną tykwę, a on pokropił łożę, grób i ołtarz umarłych jedzeniem, krwią i dżinem.

– Umarli zjedli! – zawołał Africo.

Ktoś przewidywał, że deszcz pokropi kukurydzę, a z głębi podwórza dobiegał donośny głos ojca Olimpia:

– *Syncretisme!*

Pani Rosemary da Silva pogroziła pięścią i zawołała:

– *Ah no go fo com heah fo no juju!* – Po czym oddaliła się ciężkim krokiem, a w ślad za nią jej mąż.

Wszyscy uznali, że Nigeryjczycy nie znają dobrych manier.

Podczas gdy żałobnicy ubierali się i przebierali, orkiestra zaczęła grać spokojną brazylijską sambę. Ojciec Olimpio zajął miejsce u szczytu stołu.

– *Bénissez-nous, Mon Dieu, pour la nourriture que nous mangeons ce soir...*⁴

Podczas kolacji przemówienie prezydenta przerywały trzaski; radio szwankowało. Nawoływał naród do „zerwania pępowiny międzynarodowego kapitalizmu”, a kiedy brakowało mu słów, wył: „Precz z intelektualistami!” albo „Śmierć najemnikom i lokajom kapitalizmu!”.

Nikt nie zwracał na przemówienie szczególnej uwagi.

Hermenegildo da Silva, napychając się *compaste*, nie krył, że złożył kozę w ofierze bogu wojny Gu. Mama Benz czekała. Adelina kichała i rozlewała sok ananasowy po stole. Wuj Procopio zaproponował, że zagra *Humoreskę* Dvořáka, a bracia bliźniacy, Euclides i Policarpo, sprzeczekali się, czy rodowe motto powinno brzmieć: „Muchy są niewidoczne w społeczeństwie!” czy też „Muchy są niedopuszczalne w społeczeństwie!”.

Ulubionym tematem rozmowy była jak zwykle strata majątku Dom Francisca. Jak zwykle „Niemiec” rodziny, Karl-Heinrich (Gazozo) da Silva, oparł pięści na stole i rozpoczął jak co roku swoją tyradę:

– Od mojego świętej pamięci ojca wiem, że nasz znakomity przodek zdeponował trzydzieści sześć milionów dolarów w szwajcarskim banku...

– To nie był bank szwajcarski. To był Banco Coutinho w Bahii – przerwał mu Agostinho.

– Petryfikacja – skrzeczał prezydent. – Paraliż!... Mistyfikacja!... Mumifikacja!

– Wiem też, że twój wuj Antonio...

– To nie były dolary. To były cruzado...

– ...zgubił ten dokument...

– Nie zgubił. On go wypił.

– ...uczulić... zorganizować... zmobilizować...

– Mówię ci, że spalił ten dokument z banku. Popiół wsypał do kieliszka, nalał szampana i

⁴ Poblógosław, Panie, strawę, którą spożywamy dziś wieczorem.

wypił.

- Nie wierzę ci.
- To był duży kieliszek.
- A flota? – dopytywała się Yaya Adelina. – Co się stało z flotą?
- Zatopili Brytyjczycy.
- ...zdławić ten makabryczny spisek mający na celu zmasakrowanie naszego narodu...
- Skradzione przez rząd brazylijski.
- Powinni je oddać.
- Nie oddadzą.
- Powinniśmy wytoczyć proces.
- ...żeby ukraść niewiarygodne bogactwa naszego kraju...
- Orzeszki ziemne – powiedział wuj Procopio.
- Orzeszki ziemne?
- Bez orzeszków ziemnych umarlibyśmy z głodu.
- ...i bezlitosna riposta naszych sił zbrojnych...
- I olej palmowy...
- ...i nasz reżim naukowy i operacyjny...
- Przecież od orzeszków ziemnych dostaje się raka.
- Ale nic innego nie mamy.

Africo da Silva powiedział, że od przemówienia prezydenta rozbolała go głowa. Gustave powiedział, że głowa boli od wiejącego gorącego harmattan. Ktoś inny dodał, że głowa boli od nietoperzy owocozernych, a Papa Agostinho podsumował znużonym głosem, że Dom Francisco stracił fortunę w roku, kiedy Stany Zjednoczone przestały używać porcelanek jako waluty.

Mama Benz spytała, czym tak naprawdę jest porcelanka.

– Porcelanka to ślimak – wyjaśnił Papa Agostinho. – Żyje w rzece o nazwie Missisipi. W dawnych czasach Amerykanie wrzucali niewolnika do tej rzeki, porcelanki żywiły się jego ciałem, potem go wyciągali i w ten sposób zdobywali pieniądze na zakup dalszych niewolników.

- Rewolucja albo śmierć!
- Dlatego wprowadzono prawo zakazujące porcelanek...
- Marksizm-leninizm jest naszą jedyną przewodnią filozofią.
- ...i właśnie w ten sposób Dom Francisco został zrujnowany!
- *Ah! Cette chinoiserie de la Révolution!*⁵ – Gustave da Silva potrząsnął śliczną głową.
- A flota? – zawodziła Yaya Adelina. – Co się stało z flotą?

⁵ Ach, ta rewolucyjna chińszczyzna.

2

Dwadzieścia pięć po ósmej z głębi osady dobiegło kobiece zawodzenie.

– Ej...jeo...jo...jo...o...o...o...wo...wo...wo...!

Biesiadnicy rozłożyli ręce i umilkli. Wbiegła dziewczyna o długich kończynach.

– Mama Wéwé nie chce jeść – zawołała.

Odganiając kaczki piżmowe, goście ruszyli za dziewczyną do domu z purpurowymi okiennicami. Zajrzeli do środka. Wokół kleistego światła lampy wirowały ćmy.

Córka Dom Francisca, Biała Wéwé – dowód na to, że i on był biały – umierała w kącie pokoju.

Mademoiselle Eugenia da Silva, oddychający szkielet, umierała na etruskiej kanapie z palisandru, rzeźbionego w kwiaty pasiflory i anacardium. Obok stał talerz nietkniętej, rozdrobnionej papai.

Język staruszki przylgnął do podniebienia. Wargi zapadły się w fałdy podbródka. Widać było tylko nos, wystający ze strzępów czarnego koronkowego czepek, i duże białe dłonie, złożone na podolku, w zagłębieniu czarnej krepy.

Da Silvowie patrzyli na cud. Nie było nic niezwykłego w fakcie, że Mama Wéwé nadal żyła. Nie była znacznie starsza od króla Sagbadjou, który mieszkał z żonami i dworem w domu na tyłach pałacu w Abomeyu.

Nikomui nie mieściło się w głowie, że może umrzeć.

W chłodniejsze wieczory okiennica jej domu otwierała się, skrzypiąc. Bawiący się na podwórzu nadzy chłopcy gromadzili się przy oknie, a wtedy zza czarnych zasłon wysuwała się biała ręka i głaskała ich po głowach.

Czasami chłopcom udawało się dostrzec jej twarz o cerze przezroczystej jak skóra gekona i zielone, zaciągnięte bielmem oczy.

Ciągle miała czucie w palcach. Muskała sztywne kręcone włosy chłopców, ale kiedy natrafiła na proste, pieściła je, gładziła, a druga dłoń wysuwała się zza zasłon i nagradzała właściciela monetą z Ludwikiem Napoleonem albo królową Wiktoria.

Ludzie mówili, że żyła *en princesse*, odżywiając się pastą fasolową i papają, pijąc sok z mango lub napar z trawy cytrynowej. Jej jedyną towarzyszką była zaszuszonej staruszka

nazwiskiem Mãe Roksa, która przygotowywała i próbowała jedzenie. Mama Wéwé nadal panicznie bała się, że zostanie otruta.

W 1953 roku, podczas obchodów jej setnych urodzin, wskazała palcem na krewnych i powiedziała:

– Pamiętajcie, że jesteście Brazylijczykami!

Od tamtej pory nie odezwała się ani słowem. Całymi latami otwierała usta tylko do jedzenia.

Zanim pogрузyła się w milczeniu, człowiekiem, którego obecność tolerowała, był Papa Agostinho. Wysłuchiwał jej opowieści o chaotycznych wydarzeniach minionego wieku: o amazkach bębniących na podwórzu, o rękach generała Doddsa, „dość owłosionych jak na Mulata”, albo o „tej bestii”, czyli Matce Agacie ze zgromadzenia Siostrzyчек Ubogich.

Kiedy jednak Agostinho pytał ją o zaginione dokumenty i próbował kierować rozmowę na wydarzenia z marca 1857 roku, staruszka zaciskała wargi.

Dokładnie dziewięćdziesiąt osiem lat wcześniej zakochała się.

Wysoka i piękna, miała złocistą skórę, czarne, przetykane kasztanowymi pasmami włosy i zielonkawo-bursztynowe oczy w kolorze wzburzonego morza. Kąciki jej ust wznosiły się w nieustannym uśmiechu od wymawiania słodkich, sugestywnych spółgłosek brazylijskiej odmiany języka portugalskiego. Na widok jej rozkołysanego kroku mężczyźni musieli się hamować, ale wtedy była jeszcze dziewczyną.

Pewnego wieczoru, kiedy wiał harmattan, spotkała wracającego z plaży angielskiego urzędnika. Opowiedział jej o statku handlowym zakotwiczonym na redzie. Na pokładzie znajdował się pewien profesor, który przyplłynął do Dahomeju zbierać rośliny i obserwować zwierzęta.

Tej nocy nie spała, próbując wyobrazić sobie profesora. O wschodzie słońca włożyła sukienkę z białego muszlinu haftowaną w niebieskie kwiaty. Do słomkowego kapelusza przywiązała wstążkę i zeszła z panem Townsendem na plażę.

Kraby czmychały bokiem przed parą idącą skarpą białego piasku. Przez mgłę zobaczyli kadłub statku i falujące noki rei. Kiedy mgła opadła, ujrzeli czerwoną banderę oraz czarne punkciki, czyli pasażerów i załogę.

Z powodu wysokiej fali pasażerowie nie mogli jednak zejść na ląd, więc wiosłarze z wioski wrócili do chat.

Pięć dni później niebo się uspokoiło. Pan Townsend wywiesił banderę „Alarm odwołany!”. Patrzyła, jak dzioby dłubanek przebijają się przez pianę; widziała plecy wiosłarzy w upalnym słońcu.

Między bliższą a dalszą linią fal pływały rekiny, czekając, aż któraś z łodzi się wywróci. Podobno gustowały w białym mięsie. Kiedy pierwsza z dłubanek dobiła do brzegu, stojący na mieliźnie czarownik zagrzechotał naszyjnikami z paciorków. Ona też się modliła. Z

niepokojem patrzyła na wioślarzy, walczących o utrzymanie kursu.

Łódź wzniosła się nad grzbietem fali i z głuchym łoskotem uderzyła w kamienistą plażę. Czarne ręce przeniosły pasażerów na brzeg, zanim nadeszła kolejna fala.

Profesor uściśnął dłoń panu Townsendowi, otarł sól z okularów i zaczął sprawdzać przywieziony sprzęt. Otyły mężczyzna o czerwonej twarzy, miał na sobie kurtkę z dużą liczbą kieszeni i korkowy hełm z moskitierą.

Pod wpływem pierwszego zawodu nie spodobał jej się wysoki, piegowaty porucznik o rudych wąsach i błękitnych oczach w kolorze paciorków sprzedawanych przez kobiety na targu, ale po chwili poczuła łomotanie serca.

Wieczorem porucznik przybył do Simbodji i poprosił o tragarzy; wybierał się do Abomeyu z wiadomością do króla.

Na kolacji pojawił się w niebiesko-złotym mundurze Drugiego Regimentu Indii Zachodnich, który stacjonował w Cape Coast Castle. Ona słabo mówiła po angielsku, a on powiedział:

– Wkrótce położymy kres tej łamanej angielszczyźnie.

Powoli, tak by rozumiała każde słowo, opowiedział jej o królowej angielskiej i o Londynie. Próbowała wyobrazić sobie śnieg miękki i biały jak puch drzewa kapokowego, ale zimny, nawet nie mogła się domyślić jak zimny.

Puszczala szwajcarskie pozytywki, które kiedyś należały do jej ojca. Patrzyła na stalowe grzebienie i mosiężne wałki z wypustkami, obracające się nieskładnie, bo grzebienie były skorodowane. Porucznik próbował zaśpiewać *Pstrąga* Schuberta, ale rytm pozytywki za bardzo kulał, więc tylko wybuchnęli śmiechem.

Potem znalazła klucz do pozytywki grającej walce. Ponieważ nie знаła kroków, podreptała i pozwoliła ciału opaść na dłoń porucznika, opartą w dole jej pleców.

Porucznik grał w bilard z jej przyrodnim bratem Antoniem i dawał mu fory. Słyszała, jak cicho rozmawiają po angielsku, a spojrzawszy w ich stronę, zobaczyła chciwe błękitne oczy przez kłęby dymu z cygar hawańskich.

Nazajutrz porucznik przyszedł z prezentami. Przyniósł dwa szale z madraskiego jedwabiu, naszyjnik z markazytu i lusterko w pozłacanej ramce – wszystko dla dam dworu.

O zachodzie słońca poszli do ogrodu w Zomai, gdzie Dom Francisco zbudował chiński pawilon. Pnie mangowców pobielono, a liście palm kokosowych falowały łagodnie w powiewie.

Pawilon miał odwrócone krokwie i okrągłe okna, które już nie były okrągłe. Stary ogrodnik zamiótł pawilon jak na piknik. Kiedy weszli, ogrodnik się wymknął, a ona pomyślała: A więc mój brat to wszystko ukartował.

Jego wąsy łaskotały jej górną wargę. Dłonie porucznika początkowo były delikatne, ale poczuła, że sztywnieją. Wyrwała się z jego objęć, rozdzierając sukienkę.

Porucznik wypuścił ją zdziwiony. Nie krzyczała. Z ogrodu wybiegła na czerwoną ulicę,

gdzie chłopcy z plemienia Fon grali na bębnach. Na jej widok zagwizdali, wystawili kciuki i zaczęli wybijać dudniący rytm.

Zamknęła się u siebie w pokoju i położyła z twarzą wtuloną w poduszkę, na mosiężnym łóżku zasłanym wiejskimi tkaninami. Dopiero kiedy poduszka przemokła, uzmysłowiła sobie skalę swego osamotnienia.

Co nie znaczy, że nie wiedziała, czego się spodziewać. Dziewczyny w Simbodji rozdiewiczano równie łatwo, jak pękają dojrzałe strąki. Od dzieciństwa знаła ochryply śmiech kobiet, które wachały zakrwawione prześcieradło. Przyrodni bracia próbowali wziąć ją siłą. Jej przyrodnie siostry zaciskały usta, kiedy zbliżali się do nich mężczyźni o ciemniejszej niż one skórze, ale zawsze były gotowe puszczać się z białymi marynarzami.

Niewyuczony kodeks honorowy powstrzymał ją przed znizeniem się do poziomu sióstr.

Rankiem, kiedy porucznik wrócił, mamrocząc słowa przeprosin, niczym uroczy automat osunęła się w jego ramiona.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła.

– Dobrze – odpowiedział i natychmiast pożałował swoich słów.

Tragarze byli gotowi do wyruszenia z wyprawą w góry.

Porucznik i profesor położyli się na hamakach w biało-niebieskie pasy. Tragarze dźwignęli ich jak piórko, po czym ekspedycja ruszyła przy wtórze gongów i trąb z kości słoniowej. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był rękaw koloru khaki machający jej na pożegnanie.

Przez trzy tygodnie jej nastrój oscylował między euforią a rozpaczą. Wreszcie, pewnej nocy, przybiegł chłopak z domu pana Townsenda: młodszy biały wrócił z wyprawy bardzo ciężko chory, a profesora zatrzymał u siebie król.

Twarz chorego stała się bielsza niż zasłony wokół łóżka. Oczy pożółkły, w kącikach zszarzałych ust zbierała się piana. Chory bełkotał imiona, ale one nic jej nie mówiły. Pan Townsend orzekł atak malarii, który mógł być śmiertelny. Skończyła mu się chinina, jednak okazał się na tyle rozsądny, że nie wzgardził lekarstwem, które przyniosła od zielarza. Pan Townsend siłą wepchnął je do gardła choremu, a ten wyzdrowiał.

Gorączka spadała, a porucznik histeryzował:

– Zabierzcie mnie stąd! Zróbcie coś! – Kiedy zaś pan Townsend powiedział mu o holenderskim brygu stojącym na kotwicy, rozkazał: – Zanieście mnie na pokład!

Żaden poddany nie mógł opuszczać Dahomeju bez zgody króla, musiała więc zejść na plażę pod strażą. Porucznik zachowywał się poprawnie, lecz jego głos brzmiał zimno: z Anglii przyśle pieniądze na podróż oraz należność za narzeczoną.

Dzień był szary i bezwietrzny, ale rozbijające się fale poruszały podmuch powietrza, aż jej muślinowa sukienka łopotała między nogami. Łódź odbiła od brzegu, a ona pomachała szalem na pożegnanie. Porucznik nie machał, tylko patrzył na stojący w oddali statek.

Czekała sześć miesięcy, rok, dwa lata. Od wyzwolonej niewolnicy z Bahii nauczyła się koronkarstwa. Razem robiły czepki, halki i serwety. Bardzo zależało jej na tym, by posiadać wszystkie możliwe umiejętności.

Nauczyła się czytać. Udawała, że czyta, ale chociaż potrafiła odróżnić jedną stronę od drugiej, chociaż zapamiętała wszystkie litery, nie umiała odcyfrować sensu słów.

Z nadzieją, że nauczy się lepiej angielskiego, co czwartek chodziła śpiewać pieśni religijne do kościoła metodystów. Wielebny Barnabo, Mulat z Sierra Leone, odebrał wykształcenie w Anglii i nosił bokobrody à la lord Dundreary. Nauczył ją gam na brzękliwym pianinie i wkrótce, w rytm tykania metronomu, grała *Trwaj przy mnie!* albo *Oczy me widziały chwałę przyjscia Pana!*

Córki misjonarza ją uwielbiały. Wszystkie ubierały się na biało, a kiedy śpiewały, przy wejściu do kościoła zbierał się tłum gapiów. Ogromnie zmartwiła ją wiadomość, że dziewczęta prostytuują się, żeby zarobić na alkohol dla ojca.

Zaczęła chodzić na długie samotne spacery.

W burzowe popołudnia, kiedy na niebie piętrzyły się zwały chmur, wędrowała przez palmowe zagajniki na lagunę i patrzyła, jak czarno-białe zimorodki furkoczą nad ciemną wodą. Czasami szła w głąb łądu do obozowisk ludu Peul. Ci jasnoskórzy ludzie sypiali pod gołym niebem i zachowywali urodę do późnej starości. Harmattan wyganiał ich z sawanny na wybrzeże. Ich bydło o rogach w kształcie liry szło z chrzęstem przez trawę. Nadejście ludu Peul budziło jej radość, ponieważ w porze suchej przyplływali też Europejczycy.

Pytając patrzyła na pana Townsenda, ale duma nie pozwalała jej pytać. Pan Townsend jej unikał, zażenowany grubiaństwem swego rodaka. Dopiero kiedy został odwołany ze stanowiska, zdobył się na odwagę, by powiedzieć jej o liście profesora: porucznik zrezygnował ze służby, ożenił się i osiadł w Somerset.

– Ach tak! – powiedziała.

Pan Townsend spodziewał się wybuchu żalu i wyciągnął rękę, żeby ją pocieszyć. Ona jednak spojrzała na niego jak na szaleńca i uciekła, śpiewając i tańcząc na piasku, tam gdzie marynarze wyładowywali ze statku puste beczki po oleju palmowym.

Z upływem lat rysy jej twarzy zastygły w kanciastych płaszczyznach. W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki. Skóra napięła się na nosie i kościach policzkowych, ale na szyi opadała luźnymi fałdami. W wieku trzydziestu lat była starą panną, ale później jej wygląd już niewiele się zmienił: Wybrzeże Niewolników pochłania swe ofiary w młodym wieku albo konserwuje je do późnej starości.

Krąg jej znajomych stopniowo zawęził się do służącej, młodego niewolnika z plemienia Mahi, jej ojca oraz rudego nieznajomego. Nie potrafiąc rozróżnić pomiędzy rzeczywistym a nadprzyrodzonym, nie rozróżniała między żywymi, nieobecnymi a zmarłymi.

Jeśli o nią chodziło, to krewni byli maskami z koszmaru. Z kolei Da Silvowie patrzyli z

podszytą przesądami bojaźnią na białą bezdzietną kobietę.

Podejrzewali ją o złe oko. Zwracali uwagę na to, by palić jej obcięte włosy i paznokcie. Kobiety mówiły, że nocą grasowała po Simbodji i wygrzebywała ziemię zapłodnioną ich śliną.

Ponieważ nikt nie chciał z nią spać pod jednym dachem, zostawili jej do dyspozycji stojącą w głębi podwórza starą willę Joaquim da Silvy. Kupiła belę czarnego materiału, którym udrapowała pokój. Sama zaczęła się ubierać na czarno – w sztywną suknię do łydek i koronkowy czepek zawiązany pod brodą.

Całymi latami darzyła uczuciem należącą do ojca żółtoskrzydłą arę, humorzastą papugę imieniem Zé Piranha, która dziobała obcych i własne pióra, aż w końcu zdechła z wycieńczenia. Wtedy przeniosła miłość na parchatą sukę z zapaleniem sutka, która całymi dniami wylegiwała się w cieniu bananowca, a o zachodzie słońca siadała na schodach i wyła.

Simbodji popadało w ruinę. Dachy się zapadały, mury sypały. Wściekłe zielsko tłamsiło sterty gruzu, na których panowały jaszczurki, skorpiony i węże. Pozbawieni wpływów z handlu niewolnikami, Da Silvowie pograżyli się w tropikalnym otepieniu.

W 1882 roku w zabudowania Dom Francisca uderzyło tornado, zerwało holenderskie dachówki i porozrzuciło po miasteczku.

W roku 1884, kiedy pewna dziewczyna prażyła orzechy nerkowca, jeden z nich wyskoczył z piecyka i wzniecił pożar na dachu. Trzyście domów doszczętnie spłonęło.

W 1887 roku Cândido da Silva, jeden z najmłodszych synów Dom Francisca, został wybrany na głowę rodu z uwagi na talent, z jakim odbudował rodzinny majątek. Udało mu się nawet skłonić króla Dahomeju do postawienia krzyżyka pod dokumentem, na którego mocy Ouidah stawała się protektoratem Portugalii.

Kolonizatorzy przyплыnęli z wyspy São Tome z orkiestrą wojskową i wyznaczyli miejsce na koszary. Król wystosował do Cândida pochlebne zaproszenie do Abomeyu. W mundurze portugalskiego pułkownika Cândido wyruszył wraz z żonami, dziećmi, nosicielami parasoli, muzykami i gwardią honorową amazonek.

Nigdy więcej nie wrócił.

Majora armii portugalskiej, który zaczął się dopytywać o swego towarzysza broni, zaprowadzono do glinianej chaty. Po obu stronach drzwi wisiały topory katowskie. Honorowy pułkownik, w epoletach, z żelaznym łańcuchem na szyi i drewnianym kneblem w ustach, siedział przywiązany do europejskiego krzesła. U jego stóp stała srebrna misa pełna bzyczących much.

– Do tej misy wpadają głowy wszystkich ludzi, którzy przysparzają kłopotów królestwu – usłyszał oficer.

Dziewięć dni później do Simbodji wpadł oddział amazonek w mundurach z krokodylimi insygniami ich brygady.

Amazonki wystrzeliły z muszkietów w powietrze, odtńczyły taniec ścinania głów i

ostrzegły Da Silvów, że jeśli ośmielą się sprzedać choćby ziarenko dahomejskiej ziemi, ich dom zostanie zburzony i zrównany z ziemią, a oni zostaną zesłani do pracy na królewskich plantacjach albo będą mieli okazję opowiedzieć przodkom króla o sprawach tego perfidnego świata.

Przez wiele miesięcy w Simbodji panowała grobowa cisza.

Korzystając z katastrofy, senhorinha Eugenia zaczęła wynosić z domu pamiątki po Dom Franciscu, jak gdyby miała nadzieję, że zabierając jego rzeczy, zdoła przywrócić go do życia.

Wzięła posrebrzane pudełko na cygara, nocnik z różowych opali, żelazo do piętnowania niewolników inicjałami F.S. z rączką z kości słoniowej, różanec z orzechów kopernicji, kawałki papieru z jego odręcznym pismem, litografię przedstawiającą cesarza Dom Pedra II, rysunek brazylijskiego domu oraz szczególnie krwawy obraz Judyty odcinającej głowę Holofernesowi.

W płądrowaniu domu pomagał Eugenii dziesięcioletni syn Cândida da Silvy, Cesário. Kiedy rodzice wyruszyli do Abomeyu, zostawili chłopca. Teraz był sierotą.

W zielonookim chłopcu z szopą jasnych włosów odezwała się dawna gałąź rodziny. Podobnie jak piskłeta wyrzucają albinosa z gniazda, koledzy uprzykrzali Cesariowi życie, obrzucając go śmieciami i zgniłymi owocami.

Klimat nie służył Cesariowi. Opalona skóra obłaziła płatami, zostawiając różowe placki. Na nosie stale miał strup, a miejsca po ukąszeniach komarów się jątrzyły.

Pewnego ranka Cesário przyszedł do Eugenii z larwami roztoczy w lewej stopie.

Eugenia położyła chłopca, naostrzyła nóż, przecięła zgrubiałą skórę na stopie i usunęła larwy. Malec nawet nie pisnął. Pocałowała go w czoło i zaproponowała, żeby z nią zamieszkał.

Nigdy wcześniej nie opiekowała się dzieckiem, a teraz każdy dzień przynosił coś nowego. Eugenia znowu zaczęła chodzić, bujając biodrami, i uśmiechać się promiennie. Rumieńce wróciły na twarz. Przestała ubierać się na czarno, zatknęła złote kółka w uszy i w sukience w jasne kwiaty robiła zakupy na targu.

Ubierała Cesaria w biały strój, kazała nosić panamę z włókna palmowego; posłała go do francuskich księży, żeby nauczył się czytać. Cesário przynosił do domu opowieści o kolejach, rycerzach w zbrojach oraz całe mnóstwo pożytecznych informacji: przodkowie byli tak naprawdę Galami, a krowy z departamentu Haute-Savoie dawały sześć razy więcej mleka niż krowy afrykańskie.

Cesariowi szczególnie spodobała się historia o Mojżeszu i faraonie. Raz po raz dopytywał się, czy faraon i król Dahomeju to jedna i ta sama osoba, a kiedy usłyszał, że nie, nie był zachwycony.

W deszczowe dni Eugenia wyjmowała barwną grafikę rozpowszechnianą przez Kościelne Towarzystwo Misyjne w Abeokucie, wskazywała na siwobrodego starca, który namawiał

podróznego do wejścia na „prostą i wąską drogę!”, i mówiła:

– Spójrz! To jest twój dziadek!

Czasami rozkładali panoramę Bahii, odczytywali nazwy: „Casa Santa da Misericórdia... Klasztor São Bento... Klasztor Santa Teresa...”, a Eugenia wodziła wzrokiem po kopułach, wieżach i frontonach, które przypominały jej spływającą z nieba Nową Jerozolimę.

Próbowała wyobrazić sobie dom, w którym zamieszkają po powrocie do miasta. Mówiła o tańcach w Bahii, w wysokim, błękitnym pokoju pełnym luster i złotych filarów, co nie było zgodne z prawdą, ponieważ nigdy nie zapuściła się dalej niż do Ouidah.

Eugenia i Cesário odwiedzali też Niemców. W 1890 roku hamburska firma handlowa o nazwie Goedelt wykupiła koncesję na Fort Brytyjski. Niemcy pili piwo z kamionkowych kufli, a wieczorami mesa wypełniała się fajkowym dymem. Na ścianie wisiał zegar z kukułką pomalowany w czerwone róże, obrazy córek Renu i jeden przedstawiający młodego cesarza Wilhelma II.

Cesário był ulubieńcem dyrektora, pana Raabe, który zamierzał wyszkolić chłopca na bibliotekarza. Ilekroć Eugenia po niego przychodziła, przynosiła kurczaka, owoce i nieśmiało stawiała w progu, pocierając stopą łydkę drugiej nogi i wpatrując się w ścianę.

Niemcy sądzili, że Eugenia czeka na kukułkę. Kiedy ptak wyskakiwał z zegara, mówili po angielsku:

– Już dość, stara damo. Dziękujemy. Czas wracać do domu. – A kiedy zamykały się za nią drzwi, dodawali po niemiecku: – Mój Boże, jak ta kobieta się wpatruje!

Ona jednak wpatrywała się w portret cesarza.

Pewnego wieczoru Eugenia i Cesário szli przez dzielnicę Sogbadji w ciszy, jaka poprzedza burzę. Białe flagi zwisały nieruchomo nad fetyszem. W cieniu kucali starcy, cali pobieleni wapnem, z nisko opuszczonymi głowami. Nad miastem krążyło dziwnie dużo ptaków urubu.

Z jednego z domów dobiegał cichy jęk; z innego żałobnicy wynosili trupa owiniętego w trzcinową matę, z której wystawały stopy. Eugenia i Cesário ujrzeli mężczyznę, który starał się ukryć w krzakach. Całą ulicę pokrywały wymiociny i żółte odchody.

Cholera przywlokła na wybrzeże załoga jednego ze statków.

Popędzili do domu. Eugenia zaryglowała drzwi i nikogo nie chciała wpuszczać; przynajmniej tyle wiedziała o zarazie.

Trzeciego dnia o zmierzchu Cesário poczuł zawroty głowy i musiał się położyć. Nie minęła godzina, a zanieczyścił łóżko. Pot spływał mu po skórze, która stawała się zimna, sztywna i wilgotna. Zapadniętymi oczami pozbawionymi wyrazu patrzył na krokiew domu. Nie stracił przytomności. Wychudłe palce splótł kurczowo z palcami Eugeniei.

Kryzys nadszedł wraz z afrykańskim świtem, kiedy wszystko jest złote. W ogrodzie gruchały gołębie. Wpadający przez okno snop słonecznego światła okalał ubraną na niebiesko

kobietę klęczącą przy łóżku chłopca. Ciałem chorego targały skurcze, klatka piersiowa unosiła się jak koncertyna.

Eugenia pochyliła się nad chłopcem, pocałowała go, powoli wsunęła język w jego spierzchnięte wargi, modląc się o to, by choroba opuściła go i przeszła na nią.

– Zostaw mnie w spokoju – wydyszał Cesário i wkrótce to on ją zostawił.

Eugenia żyła dalej.

Od brazylijskiego handlarza kupiła lazurową tkaninę, bo na taki kolor ubierają się aniołowie w niebie. Umyła ciało zmarłego, które już zaczęło zielenieć. Owinęła je i złożyła do trumny z irokowego drewna. Włosy zmierzwiła mu na kształt aureoli, w dłoń wsunęła złotą monetę, po czym ogrodnik przybił wieko trumny.

Cesaria pochowali na rodzinnym cmentarzu, pod oknem Dom Francisca, a nad głową zmarłego postawili krzyż z liści palmowych. Żaden z krewnych Eugenii nie zwrócił uwagi na ten pogrzeb, bo zbyt byli pochłonięci własnymi zmarłymi.

Trzy dni później asystent Raabego zobaczył, jak Eugenia idzie po plaży, z podbródkiem przyciśniętym do gardła, mruczy coś pod nosem i patrzy na piasek przesypujący się między palcami stóp.

Nagle zaśmiała się, rozpostarła szeroko ręce i pomachała czarnym szalem w stronę oceanu, gdzie nie widać było ptaków.

Asystent Raabego spytał Eugenię, co robi, a ona odparła:

– On poleciał do Bahii.

* * *

Kolejne lata spłynęły po Eugenii, nie zakłócając jej samotności.

Nie zauważyła fali ofiar z ludzi, jaka towarzyszyła wstąpieniu na tron nowego króla, Behanzina „Rekina”. Francuskie bombardowanie Ouidah, które pochłonęło sto trzydzieści osób i dało się we znaki świętemu baobabowi, umknęło jej uwagi. Nie świętowała, kiedy Estevão da Silva wciągnął na maszt trójkolorową flagę domowej roboty, dając rodzinie znak do rozpoczęcia kariery czarnoskórych Francuzów.

Ważnymi wydarzeniami w życiu Eugenii były zbiory orzechów palmowych oraz święta Kościoła brazylijskiego. Przez trzy tygodnie września, przed imieninami Kośmy i Damiana, ona i jej służąca Roksa szyły sukienki z falbankami dla miejskich bliźniaczek, które otaczano niemal boską czcią. W styczniu pomagały malować kostiumy dla komediantów tańczących *bumba-meu-boi*. Każdego roku w czerwcu, w dniu Jana Chrzciciela, Eugenia i służąca siadały przed kaplicą Fortu Portugalskiego i prażyły kolby młodej kukurydzy dla wiernych.

Ponieważ wydarzenia te powtarzały się rokrocznie, Eugenia straciła poczucie czasu starzenia.

Mãe Roksa zmarła podczas epidemii ospy w 1905 roku po tym, jak odmówiła

szczepienia. Jej miejsce zajęła osiemnastoletnia „Brazylijka”, która naprawdę nazywała się Cristella Chavez, ale Eugenia nie przyjmowała zmiany do wiadomości, nazywała ją Roksa i oczekiwała od dziewczyny pełnej wiedzy o minionych pięćdziesięciu latach.

W 1914 roku kaplica Fortu znajdowała się w stanie rozkładu. Eugenia od dawna patrzyła pożądliwym wzrokiem na głowę Jana Chrzciciela, a teraz, pragnąc uchronić rzeźbę przed rabusiami, wzięła ją na przechowanie. Głowa miała szklane oczy, węzowe sploty czarnych loków i była dziełem afrykańskiego artysty z Bahii, który z drobiazgową dokładnością wyrzeźbił aortę, przełyk oraz trzeci krąg szyjny. Rzeźbiarz przykręcił głowę do mintonowskiej patery do mięsa, zdobionej fiołkowymi goździkami; namalowana krew ściekała do rynienki mającej zbierać soki z tradycyjnych angielskich rostbefów.

Następnym pomysłem Eugonii było przerobienie sypialni Dom Francisca na kaplicę.

Razem z Rokszą zaczęły wyrabiać różańce. Robiły relikwiarze. Zaplatały wieńce z kwiatów z połączonych muszli. Z imbryka w kształcie kurczaka wykonały Ducha Świętego. Porozwieszały panoramę Bahii, obraz Judyty i kilka rycin o tematyce religijnej: świętą Martę z dwoma krwawiącymi sercami, świętą Łucję uśmiechającą się do własnych oczu leżących na dłoni.

Na ołtarzu postawiły głowę Jana Chrzciciela.

Kiedy praca dobiegała końca, Eugenia wpadła na pomysł, by kupić posąg świętego Franciszka i ustawić go w nogach ojcowskiego łóża.

Człowiek skupujący orzechy palmowe, monsieur Poidevineau, wypłacił zaliczkę za przypadającą Eugonii część zbiorów. Pieniądze przesłano do marsylskiej firmy specjalizującej się w figurach świętych.

Rzeźba Poverello przyjechała na stację kolejową w pudle okazałych rozmiarów. Brazylijska orkiestra grała sambę, a Mama Wéwé – jak się teraz nazywała – z uśmiechem witała na peronie wjeżdżający pociąg. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat nie była ubrana na czarno.

Usłyszawszy o tym wzruszającym przykładzie wiary, ojcowie z zakonu Najświętszej Marii Panny Afrykańskiej zaoferowali pomoc, ale Eugenia nie chciała nikogo widzieć w kaplicy, dopóki nie będzie gotowa na konsekrację.

Pewnego ranka do Simbodji przyszli ojcowie Truitard, Boët i Zérringer w nieskazitelnie białych sutannach i sandałach. Eugenia odryglowała drzwi i triumfalnym gestem zaprosiła gości do środka.

Zakonnicy zobaczyli głowę Holofernesa, głowę Jana Chrzciciela, łańcuchy niewolników, toaletkę z lustrem, gwoździe i zakrwawione pióra. Ojciec Zérringer, zoolog amator, obejrzał relikwiarze i rozpoznał szpon sępa, kręgi pytona, fragment czaszki pawiana oraz błonę bębenkową lwa.

– *Ce sont les gris-gris du marché*⁶ – wyszeptał.

⁶ To są jarmarczne amulety.

Ponieważ zakonnicy wiedzieli, że ojciec Truitard jest odporny na sekciarski gniew, właśnie jego poprosili, by powiedział Eugenii prawdę. Ojciec Truitard był nieśmiałym człowiekiem o dziobatej twarzy i dobrych, piwnych oczach. Przez wiele lat na wyspie Ushant towarzystwa dotrzymywały mu morskie fale i burzyki. Trochę znał portugalski.

Matka Kościół – wyjaśnił – nie może pozwolić na oddawanie czci bałwanom na poświęconej ziemi. Eugenia miała wiarę. Jej serce było skore i ciało było skore, musiała jednak lepiej poznać Pismo. Ustawienie rzeźby świętego Franciszka nad grobem handlarza niewolników również nie było mądre.

– Ależ on posyłał ich do RAJU! – zawołała Eugenia, wskazując na panoramę Bahii.

– Święty Franciszek, moja siostrzo, był biednym wędrowcem, który kochał wszystkich ludzi, ptaki i zwierzęta...

Ona jednak nie słuchała. Z jej ust wydarł się ochryply krzyk. Bezradnie zamachała rękami, wypadła na skwarne słońce i bezwładnie osunęła się na ziemię.

Dwa dni później Matka Agata ze zgromadzenia Siostrzyczek Ubogich przecisnęła się obok Roksy i wpadła do pokoju Eugenii. Po pięciu minutach wycofała się, z podrapaną twarzą i w podartym habicie.

Następne sześćdziesiąt lat Mama Wéwé spędziła spowita w woń gnijącego brokatu, ze wzrokiem utkwionym w odziedziczonej po ojcu przenośnej kapliczce z Ostatnią Wieczerzą.

Wyposażona w szybę kapliczka, rozmiarów niedużego domku dla lalek, była dziełem zakonnice ze zgromadzenia Soledade w Bahii.

Miniaturowy pokój miał błękitne ściany, lusterka i pozłacane pilastry. Podłogę ozdobiono słońcem z promieniami, wykonanym techniką markietażu, a na kominku, pod szklanym kloszem, stał zegar. Drewniane figury Chrystusa i apostołów zasiadały do wieczerzy złożonej z gipsowych kurczaków. Nasz Pan miał oczy z paciorków z turkusowego szkła i prawdziwe rude włosy. Eugenia wyobrażała sobie, jak zmniejsza się i staje w drzwiach; potem odsuwa się na bok, żeby przepuścić chytrego Mulata, który wychodził w trakcie wieczerzy.

Lata mijały i nikt nie naprawiał domu. Strzecha zgniła, okiennice popękały, a kiedy mrówki dostały się pod podłogę, jej fotel przestał się bujać. W porze deszczowej wyrosły chwasty, białe z powodu braku słońca. Ściany pokryła pleśń; od gniazd os w krokwi rozchodziły się czerwone smugi, które przecinały szlaki termitów.

Rytm jej dni został przerwany tylko raz, w 1942 roku.

Po hałaśliwym *vin d'honneur* żona rezydenta, madame Burlaton, pomyliła pedał gazu z pedałem hamulca w swoim peugeocie i rozniosła Aizan, targowy fetysz, po całym placu. Czciociele fetysza domagali się ofiary z człowieka, by na nowo poświęcić Aizanowi. Mąż sprawczy nie wyraził zgody. Wybuchły zamieszki.

Pluton senegalskich kawalerzystów wypalił, zabijając kozę i raniąc jedną kobietę w nogę.

Roksa usłyszała strzały i cztery godziny później pobiegła do koszar z wiadomością dla dowódcy: mademoiselle da Silva przyjmie go z radością.

Porucznik André Parisot już wcześniej słyszał o tajemniczej białej kobiecie, której nigdy nikt nie widział. Starannie natarł włosy oliwą i włożył najlepsze białe ubranie.

– Poruczniku, zagram na cześć pańskiego zwycięstwa. Roksa, przynieś pianino!

Roksa wniosła białą deskę z namalowanymi trzydziestoma pięcioma czarnymi klawiszami; porucznik zagryzł wargę, kiedy kobieta drapała pasażę nieobciętymi paznokciami, a z dziur po kornikach sypał się pył.

Szafa Dom Francisca, nierozlatująca się wyłącznie dzięki farbie, dotrwała do 1957 roku, kiedy rozpadła się, ukazując fiszbinowe gorsety oraz strzępy czarnej tafty, które pofrunęły w górę jak płatki kalki biurowej.

Pająki zamieniły klatkę papugi w szary namiot. Obrazy się łuszczyły, a z dwunastu apostołów zostały trędowate kikuty.

Za to paciorki z turkusowego szkła sterczały z głowy Chrystusa niczym peryskopowe oczy niektórych ryb.

Mama Wéwé miała zbyt zmęczone oczy, by dostrzec twarze zaglądające przez okno. Widziała je jednak dawno temu, a teraz wyobrażała sobie, że wszystkie tam są.

Ojciec Olimpio da Silva odkręcił srebrną ampulkę, udzielił umierającej ostatniego namaszczenia, a cały pokój rozbrzmiewał jego modlitwą. Kiedy Modeste pomachał kadzielnicą, błękitnawy dym rozdrażnił osy, które zaczęły bzyczeć.

Nie pocila się. Jej twarz była nieruchoma. Nikt by się nie domyślił, że pod tą pergaminową skórą znajdują się żyły, tętnice i bijące serce.

Nagle wargi Mamy Wéwé rozchyliły się z cmoknięciem. Zebrani Da Silvowie usłyszeli szelest. Początkowo nie mieli pewności, czy to szeleści jej skóra, czarna krepa, czy też jest to początek agonii.

Słowo oderwało się i poszybowało po pokoju, zaraz potem drugie, wreszcie sznur słów, cichych jak wiatr w dalekich palmach.

– Papiery – szepnęli zebrani. – Zapytaj ją o papiery. Papa Agostinho zbliżył ucho do ust Mamy Wéwé, potem wyprostował się i na palcach podszedł do okna.

– Ona mówić po portugalsku. Kto mówi po portugalsku? Czy ktokolwiek mówi po portugalsku?

3

Człowiek, który przybył do Ouidah w 1812 roku, urodził się dwadzieścia siedem lat wcześniej niedaleko Jaicos w sertão, suchym, słynącym z bydła ciernistym regionie północno-wschodniej Brazylii.

Ludzie z sertão są dzicy i biedni. Mają napięte twarze, proste włosy i czasami zielone oczy po holenderskim lub celtyckim przodku. Nienawidzą Murzynów. Wierzą w cudowne uzdrowienia, a ich legendy opowiadają o królu zjawie Dom Sebastião, który uwolni świat od Antychrysta.

Podobnie jak wszyscy ludzie urodzeni w ciernistych stronach, marzą o zielonych polach i lekkim życiu. Czasami wyruszają beztrąsko na południe do San Salvador da Bahia, ale na widok miasta i morza ogarnia ich panika, wracają więc na pustkowia.

Ojciec Francisca Manoela, najemny pracownik rolny, zginął podczas zaganiań młodych wołów, kiedy jego skórzany kapelusz utknął w rozwidleniu gałęzi. Uduśił się paskiem owiniętym wokół szyi. Przyjaciele pojechali śladem konia bez jeźdźcy i znaleźli wiszące ciało, ze stopami tuż nad ziemią.

Jego syn skończył rok.

Matka Francisca Manoela, kobieta o wybuchowym charakterze, miała zniszczone pracą dłonie. Niebieskie żyły nabrzmiewały na skroniach, a rzednące włosy nie zakrywały torbieli na głowie. Wieloletnia susza nadała jej ustom wyraz wściekłości – wściekłości z powodu obwisłych piersi, łykowych sandałów zamiast butów, puchowego łoża, w którym nigdy nie będzie spała, a może krzyża z białego metalu, który powinien być zostać zrobiony ze złota.

Dni spędzała, kucając w cętkowanym cieniu akacji, gdzie paliła kamienną fajkę.

Jej dom, z dachem krytym strzechą i ścianami z utwardzanego błota i łat, stał na otwartej przestrzeni w kępie drzew ombu. Okiennice pomalowano na chłodny niebieski kolor, ale był to złudny chłód.

Na skraju podwórza rosła barykada z bromelii. Nieopodal znajdowało się poidło dla bydła porośnięte rzęsą, a dalej polać ciernistych karłowatych krzewów, wznosząca się i opadająca szarzielonymi falami, znaczonymi gdzieniegdzie czarnymi kaktusami.

Dom składał się z trzech pustych, pobielonych pokoi pełnych much. Hamaki zwiisały z

krokwi jak szynki; siodła, kapelusze i uździenice wisiały na werandzie. Drzwi strzegła figura Onufrego, święty Błażej zaś miał odganiać mrówki. Kobieta trzymała na ołtarzu biały obrus jeszcze długo po tym, jak przestała się modlić o coś konkretnego.

Kilka tygodni po śmierci męża zamieszkała z Metysem imieniem Manuelzinho, który pewnego dnia poprosił ją o wodę. Miał zajęczą wargę i zęby jak kawałki zardzewiałego metalu. Sznurówki kamizelki tak ciasno opinały mu pierś, że ludziom wydawało się, że zaraz się rozerwą. Manuelzinho zabijał węże i sprzedawał dzwonkowate białe mięso na targu.

Jego koń nie miał ucha, a kiedy ludzie pytali:

– Co się stało z uchem tego konia?

– Wyżarły je robaki – odpowiadał ponuro.

Pierwsze wspomnienia chłopca dotyczyły matki i Metysa, którzy całymi dniami i nocami bujali się na skrzypiącym sisalowym hamaku. Nie pamiętał okresu, kiedy nie czułby się obcy.

Ilekroć Manuelzinho ją zaspokoił, głos kobiety brzmiał mniej ochryple, a na ustach pojawiał się uśmiech. Starannie przygotowywała posiłki, wyczesywała synowi wszy z włosów i opowiadała mu stare legendy o Dom Sebastião i królownie Magalonie.

Wspominając szczęśliwsze czasy, zadawała synowi zagadki, których nauczyła się w dzieciństwie: o awokado z „byczym sercem”, albo o „dziewczętach w zamku przystrojonym na żółto”, czyli kiściami bananów. Ulubiona zagadka chłopca brzmiała następująco:

*Igrejinha bem rondinha
Bem branquinha
Não tem porta
Não tem janela
Dentro dela tem tesouros
Um de prata, outro d'oro.*

W białym kościółku bez okien i bez drzwi – dwa skarby: jeden srebrny, jeden złoty. Odpowiedź brzmiała: „jajko”.

Manuelzinho był urodzonym włóczęgą. Po tygodniu niewoli był gotów ruszać dalej. Chodził po podwórzu, patrząc w słońce spod zmarszczonych brwi, jakby spóźniało się z zachodem. Potrafił też chłostać batem pył albo rzucać nożami w pień drzewa.

Kiedy kobieta widziała, jak Metys kurczy się do rozmiarów drobiny w kolorze kurzu, zaciskała palce na blacie stołu, aż drzazgi wchodziły jej pod paznokcie.

Wiele lat później, kiedy leżał skuty łańcuchami w więzieniu króla Dahomeju, Francisco Manoel przypomniał sobie rok suszy.

Tamtego lata – miał wtedy siedem lat – chmury jak zwykle się skłębiły, po czym lunął deszcz. Ulewa moczyła ziemię przez pięć dni, rośliny pięły się w górę, wszędzie unosiły się

chmury żółtych motyli. Potem chmury się rozstały, na metalicznym błękitnym niebie zdrzało słońce. Błoto popękało.

Pewnego dnia o zachodzie słońca matka i syn patrzyli na kaczki lecące na południe. Matka przytuliła chłopca i powiedziała:

– Kaczki lecą nad rzekę.

Wiał gorący wiatr, skrywając horyzont w tumanach kurzu i rozwiewając kozie bobki po podwórzu. Poidło wyschło, a bydło, z pyskami pełnymi kolców, stanęło nad zielonym szlamem, porykując.

W szopie za domem mieszkał stary Indianin Cariri imieniem Felix, który doglądał nielicznych zwierząt kobiety w zamian za jedzenie i mieszkanie. Pewnego wieczoru osunął się w kuchni i powiedział ochrypłym, przybitym głosem:

– One wszystkie zdychają.

Wcześniej Felix pościął kaktusy, odarł je z kolców i podał bydłu jako paszę, ale zwierzęta nadal padały. Z różowych wypukłości zrobionych na ich bokach przez kleszcze ciekła krew. Próbuąc dosięgnąć pojedynczego nieuschniętego listka, kaleczyły się, a kiedy zdechły, truchło było tak twarde, że ptaki padlinożerne nie mogły się dostać do wnętrza.

W okolicy z żywicznym trzaskiem szalały pożary, zostawiając aksamitne kikuty w miejscu drzew. Płomienie dopadły Feliksa, kiedy wyrąbywał przecinę w gąszczu. Znaleźli go, zwęglonego i lśniącego, z wyszczerzonymi białymi zębami i zielonym śluzem ciekącym z nosa. Kobieta wykopała grób, ale pies wygrzebał ciało i rozszarpał na kawałki.

Szczury wspinały się po sznurach hamaka i gryzły chłopca przez sen. Na podwórze przypełzły grzechotniki, zwabione tłącym się tu jeszcze życiem. Kiedy do domu wdarła się kolumna mrówek, kobieta resztką sił uratowała rondel z mąką maniokową i kilka skrawków ususzonej na wietrze wołowiny.

Kiedy straciła nadzieję, Manuelzinho wyjechał z buszu, gdzie odżywiał się na wpół upieczonymi ciałami gryzoni. Wkopał się głębiej w studnię i wrócił z cuchnącą, żelazistą cieczą. Nie minął jednak tydzień, a wszystkie trzy dzbany na wodę były puste.

Wargi chłopca popękały i pokryły się wrzodami. Piekły go powieki. Nogi zeszywniały. Podali mu gotowane, rozgniecione korzenie palmowe, ale te spęczniały mu w żołądku, a skurcze zmusiły go do położenia się. Resztki wody opuściły jego ciało. Nie było mowy o zdolności do płaczu, nawet wówczas, gdy matka zaczęła umierać.

Rankiem obudzili się i ujrzeli jej lewą nogę, zwisającą bezwładnie z hamaka. Manuelzinho uniósł tkaninę, którą osłaniała twarz przed muchami. Bez słowa, ze strasliwą czułością ludzi doprowadzonych do granic wytrzymałości, błagała o ocalenie syna, dla którego się zagłodziła.

Jej oazy nie były z tego świata: umarła w nocy bez jęku.

Chłopiec patrzył, jak Manuelzinho grzebie jego matkę. Potem wyruszyli na południe ku rzecze. Mijali grupy wędrowców, którzy nie mieli sił iść dalej. Na gałęziach czekały czarne

ptaki.

Koń padł drugiego dnia, ale ludzie są wytrzymalsi niż konie.

Do rzeki dotarli przy przystani promu w Santa Maria da Boavista, gdzie Manuelzinho zostawił sierotę u księdza i odjechał.

Chłopiec nie pamiętał nic z tamtej podróży, ale przez wiele lat spał z kawałkiem mięsa pod poduszką.

Wioska Santa Maria da Boavista leżała na północnym brzegu rzeki São Francisco w miejscu, gdzie zatacza ona wielki łuk przez prowincje Bahia i Pernambuco.

W wiosce była jedna ulica krytych holenderską dachówką domów wzniesionych na kamienistym grzbiecie. W dole bulgotała błotnista woda, niosąca kępy roślinności z zielonych stron w górze rzeki. W najwyższym punkcie miasteczka stał biały kościół. Ponad frontonem prosty niebieski krzyż wtapiał cierpienie Ukrzyżowania w bezchmurne niebo.

Opiekun chłopca, ojciec Menezes Brito, był grubym zarozumiałym Portugalczykiem, którego zesłano tu za jakieś przewinienie. Jego jedyną rozrywką było chrzczenie indiańskich dzieciak śliną. Nakarmił Francisca Manoela i pozwolił mu spać w szopie. W nadziei, że pozyska chłopca dla Kościoła, nauczył go grać na dzwonach, wpoił mu podstawy łaciny i sztukę pisaną kursywą.

Ojciec Brito opowiedział też chłopcu o mieście Bahia i jego trzystu kościołach, o Lizbonie oraz Świętym Mieście Rzymie. Kazał mu grać rolę świętego Sebastiana w procesji podczas Bożego Ciała. Nazywał chłopca „swoim zielonookim aniołem”, ale mimo to kazał mu się płaszczyć i spowiadać z mroków duszy. Czasami prowadził go do sypialni przesyconej wonią kadzidel i zwiędłych kwiatów i tam całował.

Wiejscy chłopcy nazywali przybysza „Chico Diabo” i nieustannie przeciwko niemu knuli. Wystarczyło jednak, żeby groźnie na nich spojrzął, a cofali się jak niepyszni.

Jedynym przyjacielem Francisca Manoela był Pepeu, czarnoskóry chłopiec, który darzył przybysza bojaźliwą czcią. Razem oskubywali pióra z żywych trznadli, przeprowadzali doświadczenia z miąższem arbuzów i wykrzykiwali wulgarne uwagi pod adresem dziewczyn płuczących w rzece wnętrzności zabitych zwierząt.

Raz próbowali ukrzyżować kota, ale uciekł.

W dni targowe chłopcy szli do rzeźni, gdzie staruchy walczyły z bezpańskimi psami o odpadki. Rzeźnicy, w czerwonych czapkach i stale purpurowych bryczesach z niebieskiego nankinu, taplali się we krwi, ćmili cygara i zarąbывali toporami wszystkie zwierzęta, jakie jeszcze stały na nogach.

Nieporuszone krowy gapiły się na swoich zabójców.

– Jak święci – powiedział Francisco Manoel.

On znacznie lepiej niż ksiądz rozumiał sens męczeńskiej śmierci Chrystusa oraz liturgię cierni, krwi i gwoździ. Wiedział, że Bóg stworzył ludzi po to, by dręczyć ich na pustyni, ale

cierpienia chłopca znieczuliły go na cierpienia innych. W wieku trzynastu lat nosił za pasem nóż z agatową rękojeścią, starannie przycinał wąsy i nie okazywał słabości, kiedy oglądał chłostę pod pręgierzem.

Każdego roku w październiku, kiedy orzechy nerkowca dojrzewały w ostatnich deszczach, zaganiacze bydła z dalej położonych rancz zbierali stada i ruszali w długą drogę na południe, na targ w Bahii. Ze wszystkich stron do miasta ciągnęły tabuny bydła. Były to ociężałe zwierzęta o rozkołysanych wolach i skórze koloru mąki kukurydzianej. Zaganiacze jeździli w kłębach kurzu, nawołując:

– É... Hu... Hé... Hé... O... O... O... O...!

Zdarzało się, że zmęczona krowa kładła się na ścieżce wiodącej nad rzekę, a inne zbaczały w bok, zwały płoty i tratowały fasolowe poletka wieśniaków. Kobiety wybiegały z domów i wygrażały pięściami, ale zaganiacze nie zwracali na nie uwagi; hodowcy bydła zawsze ignorowali ogrody.

Francisco Manoel lubił pomagać zaganiaczom ładować zwierzęta na barękę za pomocą kołowrotu. Potem, po zmroku, słuchał ich opowieści o bandytach i pumach. Kiedy jednak prosił, żeby zabrali go ze sobą, ktoś zawsze mówił:

– Chłopak jest za młody. – Wtedy wracał do twardego łóżka i nieprzychylnego mu krzyża.

Kiedy postanowił uciec, do miasteczka przybył jeździec z wiadomością, że dawny towarzysz życia jego matki umiera na ranczu w głębi buszu.

Przed chatą szarpał się uwiązany do słupa kasztan. Francisco Manoel odgarnął krowią skórę służącą za drzwi i ujrzał zasuszoną postać na sienniku. Leżący miał zamknięte oczy i twarz pokrytą skorupą krost.

Manuelzinho wskazał słabym gestem na siodło, pejcz, kamizelkę z ocelota, płaszcz przeciwdeszczowy ze skóry boa oraz skórzany kapelusz z naszytymi metalowymi medalionami.

– Weź je – powiedział.

Chłopak odjechał z grupą jeźdźców. Nie pożegnał się z księdzem. Nigdy też nie wrócił.

Przez następne siedem lat włóczył się po północnym wschodzie, pracując jako pomocnik rzeźnika, mulnik, poganiacz bydła i poszukiwacz złota. Niekiedy dane mu było zaznać przeblysków szczęścia, ale tylko wtedy, gdy nadchodził czas odjazdu.

Ogorzał od burz piaskowych. Jego ubranie przesiąkło wonią zsiadłego mleka i koni. Kiedy susza drapała go w gardło, koił je wywarem z ogona grzechotnika.

Twarze zacierały się w jego pamięci, ale zapamiętywał doznania: smak mięsa pancernika pieczonego w glinie, wody ognistej na języku, miły dotyk gorącej krwi obryzgującej mu dłonie, rozkosz sikania po nodze konia.

Mieszkał w indiańskich wioskach. Galopował z Cyganami, którzy sprzedawali niezgułowatych niewolników i szkaplerze świętego Antoniego. Przez jeden sezon ramię w ramię z Murzynami płukał żwir w obozowisku poszukiwaczy diamentów. Francisca Manoela zaskoczyło podniecenie, jakie wzbudził w nim ich fetor. Porównywał gładkie czoła Murzynów z bitwą toczącą się w jego własnej głowie.

Wiedział, że jest odważny. Gdy pewnej nocy w blasku ogniska pojawiła się czerwona twarz, zdumiała go łatwość, z jaką wsunął nóż w brzuch obcego. Innym razem, zatrzymawszy się na popas w Raso da Catarina, podzielił się mięsem z wędrowcem odzianym w strój zszyty z kawałków zielonego jedwabiu, o palcach sztywnych od złotych pierścieni. Człowiek ten przemierzał kilkadziesiąt kilometrów dziennie boso przez kaktusy.

– Nie ufam nikomu – powiedział. – Czemu miałbym ufać koniowi?

Dopiero po wielu miesiącach Francisco Manoel zdał sobie sprawę, że to był bandyta Cobra Verde, który rabował jedynie zamożne kobiety i poza kosztownościami niczego im nie zabierał.

Francisco Manoel również wierzył, że będzie wędrował wiecznie, a jednak, w dniu świętej Łucji w 1807 roku – w szary, duszny dzień niosący obietnicę deszczu – jego bezcelowa podróż dobiegła końca.

Jechał właśnie przez wioskę Uauá, kiedy z domu wybiegła córka garncarza z fartuchem pełnym zielonych pomarańcz. Tydzień później Francisco Manoel przyniósł jej świecidełka; nie minął miesiąc, nim się pobrali.

Znalazł pracę na pobliskim ranczu u właścicieli ziemskich nazwiskiem Coutinho, którzy przez dwieście lat hodowali bydło w sertão, ale teraz mieszkali na swojej plantacji trzciny cukrowej nad morzem.

Francisco Manoel poznał równania trawy i wody, lot ptaków wokół padłej krowy; nauczył się odnajdywać podziemne źródła. W promieniu wielu kilometrów rozpoznawał bydło sąsiadów, a niezależnie od tego, jak daleko zwierzę się zabłąkało, zwracanie go właścicielowi stanowiło punkt honoru.

Nieopodal, wzdłuż koryta rzeki, ciągnęły się pola bawełny uprawiane przez biednych dzierżawców. Wiedząc, że Francisco Manoel jest zmyślny i opanowany, zwrócili się do niego, kiedy ich oszukano, a on zmusił właścicieli ziemskich, żeby przyznali się do oszustwa i zapłacili. Kiedy jednak wdzięczni dzierżawcy pojawili się znowu ze skromnymi prezentami, Francisco Manoel poczuł niesmak i odprawił ich z kwitkiem.

Rodzina Coutinho nie płaciła pensji, ale podczas każdego spędu zaganiacz miał prawo zatrzymać jedną sztukę bydła na cztery.

Francisco Manoel sprzedawał bydło przez dwa lata – wolał monety w kieszeni od kopytnego bogactwa. Na trzeci sezon zamówił u kowala żelazo do piętnowania i zabrał się do „uczłowieczania” swego dobytku.

Zaganiał młode byczki do zagrody, pętał im nogi i przywiązywał do drewnianego pala. Następnie odcinał im jądra, spiłowywał rogi, a kiedy żelazo, skwiercząc, przypalało im boki, zwierzęta wyrywały się i ryczały. Francisco Manoel z przyjemnością wcierał gorący łój we własne inicjały.

Lubił swój prosty dom z tykwami i melonami zwisającymi z werandy, malowane ochrą ściany wchłaniające słońce. Po ciężkim dniu zdejmował ze ściany gitarę i grał stare pieśni *bandeirantes*.

Jego żona zawsze ubierała się na różowo. Umiała szyć, uprawiać warzywa, gotować i wyciskać trujący sok z manioku, ale poruszała się sztywno i mechanicznie. Kochanie się nie znaczyło dla niej więcej niż zamiatanie podłogi. Słowa zastęgały jej w krtani za zagrodą olśniewających zębów. Kiedy czegoś pragnęła, potrafiła sprawić, że oczy jej migotały, a gdy się bała, zasnuwały się mgłą. Najczęściej jednak siedziała wpatrzona w dal, głaszcząc rudego kota.

W środku nocy budziła się z okrzykiem:

– Ojcie! Ojcie!

Dwa razy w tygodniu odwiedzała garncarza i wracała z rękami usmarowanymi po łokcie czerwoną gliną.

Napięcie związane z mieszkaniem z nią pod jednym dachem zaczęło wywierać zły wpływ na Francisca Manoela. Na widok pustego uśmiechu żony bladł z gniewu i miał ochotę ścisnąć ją za gardło. Zaczął sypiać na gołej ziemi w nadziei, że pod gwiazdami odzyska równowagę ducha.

Pewnego dnia obudził się o wschodzie słońca na kamienistej ziemi, a spojrzawszy w bok, zobaczył pod kaktusem – zdziwiony, bo znajdował się daleko od wody – zieloną żabę. Grzbiet miała w kolorze młodej trawy, brzuch liliowy, a kiedy się czołgała, spody łap migotały pomarańczowo i turkusowo.

Trącił żabę kijem. Zesztywniała ze strachu. Patrzył, jak oczy stworzenia zmieniają kolor ze srebrnego na purpurowy. Chwycił kamień, rozgniół żabę na przetykaną smużkami krwi kupkę śluzu i przez cały tydzień żałował swego postępku.

Jego żona spodziewała się dziecka.

Kobiety z wioski przyszły z radami, wiązką ruty dla odegnania czarownic i krzyżem, który należało wsunąć pod materac. Jednak perspektywa uczestniczenia w porodzie wzbudzała w nim odrazę. Znalazł wymówkę, żeby wyruszyć na wyprawę, a później nie mógł uwierzyć, że niemowlę, które oplatało paluszki wokół jego palców to jego rodzona córka.

Pewnego popołudnia siedział w domu sam, naszywając łatę na skórzaną końską derkę. Deszcz bębnił w dachówki i żłobił w ziemi kręte kanaliki. Francisco Manoel co pewien czas unosił wzrok i patrzył na przepływające za oknem czarne chmury. Nagle na parapecie przysiadł kot.

Szył dalej, ale kot patrzył w jego stronę. Kiedy zamiauczał, Francisco Manoel poczuł, jakby skalpel rozcinał mu mózg. Kot dał susa i zaczął ostrzyć pazury o jego bryczesy. Potarł łebkiem o łydkę mężczyzny, a ten zadrzał. Jedną ręką chwycił zwierzę za przednie łapy, drugą za nóż.

Krew na jego dłoniach była ciepła i lepka. Wytarł ciemne krople krzepnące na podłodze. Przerzuciwszy koci zewłok przez siodło, pojechał, żeby się go pozbyć. Potem, przez wiele godzin, stał beznadziejnie samotny w strugach deszczu.

Kobieta szukała kota, ale wkrótce o nim zapomniała.

Pewnego wieczoru ułożyła córeczkę w kołysce i balansując dzbanem na głowie, poszła go napełnić do zbiornika z wodą. Patrzył, jak dwie krągłe sylwetki oddalają się ścieżką wśród agaw i roztapiają w pomarańczowym zachodzie słońca. Rozkoszując się ciszą, usiadł; po chwili zaczął brzdąkać na gitarze. Dziecko zapłakało. Przestał grać, a dziecko ucichło. Kiedy jednak znowu dotknął strun, płacz się nasilił.

Francisco Manoel uniósł gitarę nad kołyską, czekając na trzask pękającego drewna, potem się opanował i złamał gitarę na kolanie.

Odjechał przed powrotem kobiety.

* * *

Powrócił do samotnych wędrówek. Ponieważ uważał, że każda przestrzeń ograniczona czterema ścianami jest grobem albo pułapką, wołał przemierzać otwarte, jałowe połacie.

Mijał doliny białego pyłu, gdzie drzemliki wykopywały z ziemi bulwy. Odżywiał się suszoną na słońcu wołowiną, suszonymi owocami i dzikim miodem; wodę wyciskał z korzeni drzew ombu.

Zdarzało się, że brakowało i wody, i trawy – nic, tylko ostre źdźbła szaławii i padające z głodu konie. Wędrówkom nie było końca. Puste horyzonty, stukot kopyt na krzemionce, trzask uschłych gałęzi, łoskot pioruna, który nie zapowiadał deszczu, krzyk sępa – wszystko, co przerywało ciszę, było smutniejsze od ciszy.

Kiedy wjeżdżał do miast, hałas nie dawał mu spokoju. Tańce, muzyka, ożywione rozmowy i śmiech – a on kuczał i pociągał z butelki.

Wiezorami mijał domy i zaglądał do oświetlonych pokoi, gdzie ojcowie bawili się z dziećmi, mężczyźni grali w karty, a kobiety zaplatały z uśmiechem warkocze. Pragnął tych prostych przyjemności, pragnął dotyku i ufności, ale ilekroć kobieta dostrzegła migoczące w mroku zielone oczy, zaciągała żaluzje, a padające przez nie światło pręgoowało mu twarz.

Raz w czasie Wielkiego Postu mijał świętą górę Monte Santo, gdzie pewien kapucyn, ojciec Apolonio z Todi, odkrył tajemnicze litery wyryte w skale.

Pielgrzymi w błękitnych łachmanach ciągnęli ze wszystkich stron sertão, żeby wspiąć się

białą kwarcową *via sacra* do kaplicy na szczycie, gdzie w każdy Wielki Piątek Najświętsza Maria Panna płakała krwawymi łzami.

Francisco Manoel słuchał ich litanii. Słuchał krzyków, kiedy okładali się pokrzywami. Patrzył, jak przemierzali siedmiokilometrowy odcinek na kolanach, a w miarę jak zbliżali się do celu, droga stawała się coraz czerwieńsza.

Marzył o podobnym akcie samoumartwienia się albo po prostu o zrzuceniu gniotącego go ciężaru. Całymi godzinami wpatrywał się w przydrożne krzyże. Przejeżdżając przez wioskę, zawsze zsiadał z konia, przyglądał się pogrążonym w modlitwie wiernym, ale nigdy nie zdobył się na to, by się przyłączyć.

W Jeremoabo zatrzymał się, żeby porozmawiać z kobietami układającymi lilie na ołtarzu. Kościelnym dozorcą był młody Mulat o obciążonych skórą kościach w miejscu nóg, który poruszał się na wózku z drewnianymi kołami i raz po raz oglądał się przez ramię, jak gdyby ktoś, może Śmierć, miał go dopaść. Dozorca przedstawił gościa swoim towarzyszom: Santa Rosariowi w zielonych koronkach, siostrze Theatrieli, Urieli i Baranieli, świętemu Czarnemu Mojżeszowi ze stopą na krtani faraona, świętemu Antoniemu Padewskiemu, którego umęczony wizerunek ukazywał się zbiegłym niewolnikom i namawiał do powrotu.

Kaleka podjechał do ołtarza, otworzył skrzynię i odwinął całun z zapleśniałego aksamitu, odsłaniając martwe ciało Chrystusa.

Ciało było gładkie i blade, brzuch napięty, a dłonie nienaturalnie wykrzywione na zewnątrz. Po ramionach spływały delikatne, jakby dziewczęce, czarne włosy. Z rany zadanej lancą tryskała czerwona farba; kolana pokrywały purpurowe strupy.

– Nie żyje! – zaskowyczał kaleka, łzy pociekły mu po policzkach na kikuty nóg i deski wózka.

Francisco Manoel położył dłoń na zgarbionych plecach tamtego. Wykrzywił usta i nagle on też wybuchnął płaczem.

Tuż obok śmignęła sutanna.

Rzucił się do drzwi.

Nie płakał od śmierci matki, a łzy ulżyły jego smutkowi. Lęk, że może wyrosnąć na zabójcę, opuścił go. Zaczął pić w barach, śmiać się i grywać w karty, chociaż nadal nie odważyłby się pójść z kobietą.

Ciągnęło go do miast na wybrzeżu.

Dotarł aż do Tucano na południu, gdzie kaktusy karłowaciały, zaczynały się rosłe drzewa, a jego dawny pracodawca, pułkownik Octávio Coutinho posiadał wytwórnię suszonej wołowiny. Tam, jakby chcąc się oczyścić we krwi, Francisco Manoel pracował razem z rzeźnikami i ludźmi, którzy solili mięso; wieszal polcie na miedzianych drutach. Miasto spowijała chmura dymu z kotłów, w których topiono tłuszcz. Zdrowi ludzie dostawali gorączki i umierali, a ci, co przeżyli, pili.

Czasami do miasta docierały karawany z wybrzeża, żeby kupować wołowinę dla niewolników na plantacjach trzciny cukrowej. W pewien styczniowy wieczór spadkobierca pułkownika przybył po zapasy dla rodzinnej plantacji na Tapuitaperze: rodzina wysłała chłopaka z mulnikami, żeby go zahartować.

Joaquim Coutinho miał ciemne, zaczerwienione oczy, które łzawiły na wietrze. Ubranie pokrywała warstwa kurzu. Ponieważ nie przywykł do długich podróży w siodle, potwornie bolały go pośladki, a niewolnicy chichotali, patrząc, jak zsiada z konia.

Tej nocy on i przybysz z głębi kraju nawiązali przyjaźń, którą można wytłumaczyć tylko przyciąganiem się przeciwieństw. Nazajutrz, kiedy juki załadowano, a ludzie byli gotowi do odjazdu, Joaquim oznajmił, że chce zostać.

Francisco Manoel nauczył przyjaciela chwycić młode woły na lasso, zaplatać rzemienne bicze, ujeżdżać żrebaki, a także jeździć na strusiach nandu i łapać je w sidła. Sam słuchał jak zaczarowany, kiedy Joaquim paplał o swoim rodowodzie, latyfundiach i o Wieży w Tapuitaperze, która przetrwała dwieście lat.

Pewnego dnia Joaquim rzekł:

– Powinieneś pojechać ze mną na wybrzeże. Francisco Manoel zawahał się, bo skrycie bał się widoku morza. Po chwili jednak powiedział:

– Dobrze.

Tapuitapera – nazwana od skały, na której Indianie Tapuya ostrzyli kiedyś toporki – była wzniesieniem z czerwonego piaskowca, leżącym około stu kilometrów na północ od Bahii i pięć kilometrów w głąb lądu od białej piaszczystej plaży. Na szczycie majaczył cień czegoś ciemnego i twardego, na wpół zasłoniętego przez lśniące drzewa.

Ocean był zawsze niebieski, znaczony żaglami, a lasy mangowców i orzechów nerkowca szumiały poruszane bryzą od lądu.

Posiadłość rodziny Coutinho miała okna z kwadratowych szybek i ściany z różowego stiuku. W apartamentach o ścianach zdobionych kwietnym szablonem szeleściły zasłony z zielonego jedwabiu. Na werandzie stały klatki ze śpiewającymi ziębami, a w jadalni porcelanowe wazy z niebieską glazurą i złożone pilastry; ściany zdobiła boazeria w kolorze lapis-lazuli.

W ogrodzie unosił się aromat róż i lilii. Kolibry wysysały nektar ze szkarłatnych kwiatów wiciokrzewu. Motyle morpho furkotały nad kwiatami wilca, a po zmroku na chińskiej galerii czarnoskórzy chłopcy w aksamitnych bryczesach i koronkowych żabotach śpiewali *Stabat Mater* Pergolesiego.

Francisco Manoel uznał, że przypadkiem trafił do rajku.

Pułkownik powitał go serdecznie, przekonany, że gość ma zbawienny wpływ na jego syna. Potraktował go jak członka rodziny i powierzył jego opiece stajnie.

Pułkownik był wspaniałym wrakiem człowieka.

W młodości, zaniepokojony myślą o horyzontach, na których nie pasło się jego bydło, rozszerzył zasięg swoich posiadłości aż po zielone pustkowia Maranhão, gdzie konie zapadały się po kłęby, a ranczerzy marli na gangrenę odbytu. Pergaminowa mapa imperium Pułkownika nadal wisiała w jego gabinecie, ale na biurku walały się wezwania do zapłaty czynszu, a mniej więcej raz na miesiąc przychodziła wiadomość z jednego z rancz, że dzierżawca zajął ziemię.

Pięćdziesiąt lat ostrych potraw i siedzenia w siodle doprowadziło hemoroidy Pułkownika do takiego stanu, że nie mógł się ruszyć z hamaka, żeby zjeść, wyspać się, wysrać, pomodlić czy zagrać w karty z kapelanem. Została mu tylko jedna przyjemność: urocza Mulatka, która myła mu włosy, przeczesaując sztywne sploty takim ruchem, jakby obierała kapustę.

Francisco Manoel robił wszystko, żeby przypodobać się Pułkownikowi. Do obiadu wkładał świeżo wyprasowane białe ubranie, przegrywał co drugą partię tryktraka i z uwagą wysłuchiwał opowieści starego o zabijaniu Indian.

Dwaj przyjaciele spędzali czas na walkach kogutów i tresowali psy do polowań na kapibary w lesie. Kiedy wracali, rozgrzani pogonią, machali do sióstr Joaquina, które wylegiwały się na hamakach albo karmiły udomowione marmozety budyniem jabłkowym.

W deszczowe dni przyjaciele zwiedzali Wieżę, posępnego granitowego kolosa wzniesionego w 1602 roku przez Francisco Coutinho Pierwszego, którego szara twarz patrzyła ze ścian galerii portretowej.

Czasami wertowali tomy z ilustracjami przedstawiającymi panoramy europejskich miast albo odwiedzali pokoje, gdzie leżały w nieładzie cenne przedmioty: szkło weneckie, srebro z Potosí, kryształy, cynober i szkatułka z czarnej laki, od której odpadała macica perłowa.

Francisco Manoel nie wierzył własnym oczom. Nigdy nie przypuszczał, że będzie posiadał coś więcej niż noże i kilka srebrnych ozdób końskich. Teraz jego głód bogactw nie miał granic.

W marcu nadszedł czas zniw. Wzgórza i doliny srebrzyły się od trzciny cukrowej, a z domu widać było rzędy czarnych pleców i błyski maczet. Murzyni ciąli ścianę żółtych łodyg dwukrotnie wyższych niż oni. Liście przecinały im skórę, a po południu krew zmieszana z potem i sokiem z trzciny cukrowej przyciągała roje much.

Nad cukrownią wisiała gęsta woń melasy. W kadziach bulgotało. Pary wołów w jarzmie obracały tłocznę trzciny cukrowej. Niewolnicy z nabrzmiałymi na szyi żyłami, zgięci pod ciężarem snopów, zataczając się, podchodzili do tłoczni.

Pewnego popołudnia, kiedy dłoń jednego z pracowników utknęła w wałach tłoczni, nadzorca musiał ją odciąć w przegubie. Krzyki rannego, którego przyjaciele nieśli do domu, rozbrzmiewały w dolinie. Nadzorca wzruszył ramionami i powiedział:

– Tylko nie to!

O osiemnastej dzwonił dzwon w kaplicy, niewolnicy odkładali narzędzia i wlekli się na górę, żeby zmówić wieczorną modlitwę do Najświętszej Pani. Przechodząc obok Pułkownika, unosili kapelusze. Ochryple, matowe głosy odpowiadały chóralnie na jego:

– *Boa Noite!*

W kaplicy pod wezwaniem Nossa Senhora da Conceição stała na ołtarzu przenośna kapliczka z Ostatnią Wieczerzą, która miała dożyć swoich dni w Ouidah. Zakonnice, które ją wykonały, wzorowały się na jadalni w Dużym Domu. Z jakiegoś powodu Francisco Manoel zaprzagnął kapliczki bardziej niż wszystkich przedmiotów, jakie widział.

Pewnej bezsennej nocy usłyszał dobiegający ze wzgórz odgłos bębnow.

Ubrawszy się, ruszył za bębniami na leśną polanę, gdzie niewolnicy przywoływali swoich bogów zza Atlantyku. Tancerze nosili maski z białego metalu i białe stroje mieniące się pomarańczowo w blasku ognia. Wirowali w tańcu dopóty, dopóki Posłaniec Exu nie klepnął ich w plecy. Wtedy, jeden po drugim, wzdrygali się, warczeli, osuwali się na kolana i w transie padali na ziemię.

Ich kapłan, wyzwolenc z plemienia Joruba, imieniem Jerónimo, był wyznawcą bogini morza Yemanji i sypiał obok jej wizerunku w postaci syreny w komnacie pełnej koralu i mis ze słoną wodą.

Nic nie sprawiało Franciscowi Manoelowi większej przyjemności niż słuchanie, jak ten obojnaczy kawaler śpiewa pieśni o królestwie Ketou głosem, który sugerował rozziw nie między kontynentami, a między planetami.

Jerónimo pokazał mu poświęcone świętemu Franciszkowi z Asyżu drzewo loko, którego korzenie sięgały pod oceanem aż do Itu-Aiyé, czyli Afryki, domu bogów. Zdarzało się, że jeden z niewolników słyszał głosy przodków wzywające go przez skórzaste liście. Nocą wdrapywał się na drzewo, a rano znajdowano wiszące ciało.

Jerónimo opowiadał mu o wzniesionych z błotnych cegieł pałacach pełnych czaszek, o plemionach wymieniających złoty pył za tytoń, o Świętym Wężu, który był też tęczą, i królach o jądrach wielkości awokado.

Nazwa „Dahomej” wyryła się w jego wyobraźni.

Nadszedł czas, by Francisco Manoel opuścił Tapuitaperę.

Schorowany Pułkownik miał wybuchowy charakter, a Joaquina nudziła obecność przyjaciela. Celowo poruszał w rozmowie tematy przewyższające zdolności rozumienia tamtego, a potem milkł i pytał:

– Ale po co ja ci to właściwie mówię?

Matka Joaquina, Dona Epiphania, nie aprobowała kontaktów syna z plebejuszami i jadała na osobności. Była roslą kobietą o plamistej cerze, z czarnym zarostem nad górną wargą i zębami startymi do cienkich brunatnych płatków. W koszyku do robótek trzymała

bicz ze srebrną rączką, a podczas gdy niewolnica wachlowała ją liściastą gałęzią, Dona Epiphania siedziała na trzinowej macie i snuła plany zemsty przeciwko kochankom męża.

Francisca Manoela nazywała biernym homoseksualistą.

Kiedy się pojawił, siostry Joaquina słały mu pocałunki i przekazywały miłosne wiadomości w języku wachlarza. Wkrótce jednak matka zaczęła zachęcać córki do wytykania przybyszowi jego niedociągnięć. Przedrzeźniały jego akcent, drwiły z jego prób prowadzenia rozmowy i wybuchały śmiechem, kiedy posługiwał się nożem i widelcem.

– Mamy krzesła – mówiły, kiedy kuczał.

Często, kiedy wchodził do pokoju, wołały:

– Uciekajmy! Uciekajmy! To brutal! – Po czym rzucały się do drzwi, szeleszcząc taftą.

Pewnego wieczoru Joaquim powiedział mu, że ojciec miał wylew, a Dona Epiphania nalega, by Francisco Manoel opuścił dom.

Oczy przyjaciół się spotkały.

Francisco Manoel zaczerwienił się z gniewu, ale zobaczywszy, że protesty nie mają sensu, pochylił głowę.

Wyjechał do Bahii.

Krążył po Mieście Wszystkich Świętych w czarnej aksamitnej kurtce samobójcy, odkupionej od krawca, u którego okrywała manekina. Suszące się pranie ocierało mu się o twarz. Uliczne urwisy całowały go w usta, sięgając mu do kieszeni. Ślizgał się na skórkach gnijących owoców, a białe pierzaste obłoki szybowały nad dzwonicami.

Brukowanymi ulicami Pelourinho schodził patrząc, jak ulicznicy mocują się z cieniem. „Piękny pies północy” był pofarbowanym na niebiesko pudlem, który grał w karty. Po zmroku zawsze nadarzała się okazja do puszczenia sztucznych ogni.

Główna rozrywka Francisca Manoela polegała na chodzeniu za konduktami pogrzebowymi. Raz był to czarny katafalk ozdobiony złotymi czaszkami. Innym razem błękitna trumna dziecka, które urodziło się martwe, albo szare zwłoki owinięte w całun z liści bananowca.

Zielone oczy uczyniły go sławnym w dzielnicy. Kiedy omiatał nimi zatłoczony zaułek, zawsze ktoś przystawał. W drewnianych pokojach oddawał się mechanizmowi miłości z partnerami obojga płci. Odchodzili z poczuciem, że otarli się o śmierć: nikt nie wracał ponownie.

Rysy jego twarzy przybrały ostateczny kształt.

Prawa brew, uniesiona wyżej niż lewa, nadawała mu wygląd człowieka zdumionego faktem, że znalazł się w domu dla obłąkanych. Wilgotne, zmysłowe usta okalały wąsy. Przez lata ścigał usta po części po to, by wyglądać dojrzałej, po części, by nie pękały w upale; teraz pozwalał im opaść, jak gdyby pokazywał, że wszystko jest dozwolone. Ataki gniewu minęły, ale uczucie żalu pozostało. Chciał popłynąć do Afryki, lecz wzbraniał się przed

podjęciem świadomej decyzji.

Ilekoć pod Fortem São Marcelo kotwiczył statek z Gwinei, Francisco Manoel przechadzał się po nabrzeżu niewolników i patrzył, jak czarnych przewożą łodziami wiosłowymi na brzeg. Handlarze ze wszystkich prowincji przepychali się łokciami, wykrzykując nazwy poszczególnych konsygnantów. Liczono zmarłych, a tych, co przeżyli, zmuszano do biegu, tupania, podnoszenia ciężarów i krzyków dla zademonstrowania sprawności płuc.

Dezerterów sprzedawano tanio Cyganom.

Francisco Manoel zaprzyjaźnił się z jednym z cygańskich handlarzy niewolników, który pokazał mu kilka sztuczek z branży: jak ukryć krwawą biegunkę za pomocą czopa z pakuł albo chorobę skóry przez nasmarowanie jej olejem rycynowym.

Kiedy jednak rozmawiał ze starymi afrykańskimi handlarzami, wszyscy wzdrygali się na wspomnienie Dahomeju.

W pewne grudniowe popołudnie, z braku innych zajęć, pomógł wynajętym opryszkom powiesić słomianą podobiznę brytyjskiego konsula. Minęły cztery lata, odkąd parlament przegłosował ustawę abolicyjną, ale dopiero niedawno okręty królewskiej marynarki zaczęły przechwytywać brazylijskie statki z niewolnikami.

Ludzie wpadli w szal, a kiedy pluton straży zaczął ich rozpędzać, powalili jednego ze szkockich marynarzy i wrzucili do zatoki. Najwyraźniejsze może wspomnienie Francisca Manoela z Bahii wiąże się z tym, jak przechylony przez balustradę, patrzy na rudą głowę unoszącą się wśród masztów.

Dwa tygodnie później, kiedy pił likier z limony na aukcji niewolników przy rua Dos Matozinhos, wystawiony na aukcję służący z Bengueli uciekł w trakcie licytacji. Wśród kupujących był Joaquim Coutinho, a kiedy urzędnicy rzucili się w pościg za zbiegiem, Joaquim zauważył starego przyjaciela i klepnął go w ramię.

Odnowili przyjaźń. Ilekoć Joaquim przyjeżdżał do miasta, spędzali razem wieczór, a potem szli na dziwki.

Podczas jednej z takich wizyt Joaquim powiedział przyjacielowi, że Pułkownik zmarł, zostawiając rodzinne sprawy w tak opłakanym stanie, że Dona Epiphania musiała sprzedać diamenty. W nadziei na odbudowanie majątku Joaquim przyłączył się do syndykatu oficerów, którzy zamierzali spekulować na suszonej wołowinie, a zyski zainwestować w szybsze statki do przewozu niewolników.

Najcenniejsi niewolnicy pochodzili z Ouidah, Ouidah zaś, zgodnie z traktatem zawartym przez księcia regenta z Anglią, był jedynym portem na północ od równika, gdzie handel niewolnikami odbywał się legalnie. Jedyne problem stanowił szalony król Dahomeju.

Francisco Manoel dał jasno do zrozumienia, że ma mgliste pojęcie o tym, gdzie leży Dahomej.

– Powinieneś tam popłynąć – powiedział Joaquim. – Wkrótce się więcej dowiesz.

Trzy tygodnie później Francisco Manoel znalazł się w pokoju w kapitanacie, gdzie ojcowie założyciele miasta patrzyli z ciemnej boazerii, a współnicy Joaquina siedzieli wokół okrągłego stołu.

Mężczyzna w złotych epoletach i czerwonej szarfię wstał, zakręcił globusem, wskazał na Fort Świętego Jana Chrzciciela w Ouidah i awansował kandydata do rangi porucznika. Zlecenie nie było płatne, ale kandydat otrzymywał dwa mundury, przeprawę do Afryki i prawo do handlowania niewolnikami. Żaden z oficerów nie wiedział, co się stało z gubernatorem fortu i jego garnizonem. Kiedy rozmowa dobiegła końca, wszyscy wstali, by pogratulować człowiekowi, o którym wiedzieli, że wkrótce będzie martwy.

Ostatniej nocy na łądzie, kiedy „Pistola”, bryg do przewozu niewolników stał gotowy do wypłynięcia, Francisco Manoel poszedł na pożegnalną mszę do hospicjum Boa Viagem.

Ściany kościoła, oświetlonego podwójnym rzędem kryształowych żyrandoli, były wyłożone niebiesko-białymi kaflami. Na kaflach wymalowano galeony, rozbijające się na skałach, zatapiane przez fale, wywracane przez lewiatany albo miażdżone armatnimi kulami, ale zawsze ocalone przez Najświętszą Panienkę, unoszącą się w aureoli nad masztem.

Kapitan i marynarze siedzieli w przednich ławkach.

Wszyscy mieli na rękach krew, a mimo to patrzyli tęsknie na mlecznobiałe ciało umierającego Pana, utożsamiając Jego agonię z własną i wzywając Go, by uciszył morze.

Ksiądz odmówił krótką modlitwę do patrona niewolników, świętego José Odkupionego, oraz dłuższą, za duszę czarnych braci, którzy mieli zostać przyłączeni do chrześcijańskiej trzody. Nosowe odpowiedzi wiernych wzbijały się ku sklepieniu, gdzie prorok Elias, w spirali dymu i płomieni, pędził rydwanem ku Wszechmocnemu.

Na ołtarzu płonęły świece, których blask migotał na złotych skrzydłach aniołów.

Ze swojej ławki w głębi kościoła Francisco Manoel zobaczył, jak ksiądz unosi cyborium, a wierni ruszają kornie do niego.

– *Corpus Domini Nostrum Jesum Christum... Corpus Domini Nostrum...*

Bez chwili zastanowienia przystąpił do komunii, żegnając się dłonią w koronkowym mankencie i pozwalając, by ślina zwilżyła opłatek na końcu języka.

Na dworze ucichła burza. Gwiazdy zbladły i rozmyły się w błękitnej pustce. Błyskawice nad wyspą Itaparica oświetlały noki rei statku daleko na torze wodnym.

Msza dobiegła końca, a marynarze stanęli przed kościołem, trzymając bramzagię statku za rogi halsowe i szotowe. Chór zaintonował hymn, a złoty ornat księdza oderwał się od aniołów i wolno ruszył między ławkami.

Procesja wyszła przez zielone drzwi.

Chłopcy w purpurowych sutannach nieśli srebrny krzyż, kropielnicę i kropidło z liści palmowych.

Krople wody święconej padły na płótno.

– Pobłogosław, Panie, tę oto „Pistolę” oraz wszystkich, którzy na niej płyną. Nieś ją, jak niosłeś arkę Noego na wodach potopu. Podaj im rękę, tak jak podałeś apostołowi Piotrowi, kiedy szedł po morzu...

4

Do Ouidah dopłynął między czternastą a piętnastą w pochmurne majowe popołudnie, przesycone wonią lasów namorzynowych i śniętych ryb. Na morzu, jak okiem sięgnąć, unosiła się piana. W głębi lądu rosły wysokie drzewa, które z odległości pięciu kilometrów można było wziąć za pionowe rynny. Francisco Manoel był jedynym pasażerem w łodzi; załoga miała dość rozumu, by nie zapuszczać się do królestwa Dahomeju.

Na początku rejsu wpatrywał się w nowy żywioł z niewinną bojaźnią szczura lądowego. Widział morskie głuptaki. Widział ławice meduz, wstęgi wodorostów, tęczowe barwy na grzbietach ryb bonito i białych tuńczyków oraz blady blask fosforescencji w mrokach nocy.

Później, kiedy statek wpłynął w pas ciszy morskiej, żagle opadły. Płetwy rekinów zataczały kręgi w oleistej wodzie i wszystkim zaczęły puszczać nerwy, a mat wybił marynarzowi zęby różkiem skutniczym.

W dniu, kiedy ujrzeli wybrzeże Afryki, pokład skropił czerwony deszcz, a w takielunek zaplątała się szarańcza. Ostatniej nocy na pokładzie Francisco Manoel obudził się we własnych wymiocinach: statek ledwo uniknął tornada, które usiało pokład martwymi rybami.

Odepchnął wiosłarzy, którzy chcieli mu pomóc wysiąść z łodzi. Nie chciał dać łapówki czarownikowi. Nie pozwolił tragarzom przenieść się przez lagunę, ale sam, z czarną mazią na udach, ruszył pod górę w kierunku Drzewa Kapitanów.

W cieniu tego walącego się fikusa czekali pomocnicy Yovogana, dahomejskiego ministra handlu niewolnikami. Na stoliku karcianym, z którego zlazło prawie całe sukno, ustawiono karafki z klaretem, maderą, rumem i destylowanym winem palmowym.

Francisco Manoel spełnił toasty, a żołnierze strzelili w powietrze z muszkietów. Królewski eunuch ze srebrnymi rogami na skroniach przekrzywił głowę, zapytał, jakie dary przywiózł przybysz z Brazylii, i krzyknął, kiedy usłyszał: „Żadnych!”.

Wywiązała się rozmowa, podczas której wszyscy zachowywali się całkiem przyjaźnie, ale kiedy Francisco Manoel dotarł na miejsce, stwierdził, że fort jest w całkowitej ruinie.

Maszt flagowy był złamany, armia królewska zdezerterowała. Poczerniałych od dymu ścian nie pokrywał dach. Okiennice wyrwano z zawiasów, a działa wypadły z pozycji i wbijały się w pobielone mury.

Kiedy Francisco Manoel wyszedł na podwórze, ptaki urubu odleciały, łopocząc skrzydłami. Świnia usiłowała zedrzeć skórę z owocu chlebowca. Pies obsikał drzewo i zaczął wyc.

Z kaplicy wyłoniła się pałkowata, ospowata postać w czako tamburmajora i resztkach tureckiego dywanu. Na widok przybysza przebieraniec zamrugał, potem wyszczerzył chybotliwe żółte zęby i wrzasnął:

– Chwała niech będzie matce Jezusa Chrystusa i Wszystkim Świętym! – Po czym podbiegł, żeby dotknąć zjawy i przekonać się, że jest prawdziwa.

Dobosz Taparica był jedynym ocalałym z garnizonu.

Ten wyzwolenc z plemienia Joruba, który wstąpił do Pierwszego Regimentu Czarnej Milicji, śpiewnym językiem portugalskim z plantacji opowiedział swoją smutną historię: o tym, jak gubernator zmarł w gorączce, porucznik poległ w potyczce na wybrzeżu, a król zezwolił swoim żołnierzom złupić fort.

Napastnicy ukradli dzwony, wycięli oczy z portretu księcia regenta, odszpuntowali beczki z rumem, zgwałcili kadeta, po czym pognali załogę fortu do Abomeyu, gdzie, jak słyszał Taparica, ich głowy zatknięto na pałacowych murach.

Przekonani, że dobosz zna miejsce zakopanego skarbu, Dahomejczycy puścili mu mrówki na pierś, wtarli pieprz pod powieki i przypalili język rozżarzoną do czerwoności maczetą. Właśnie mieli zabrać się do najgorszego, kiedy ktoś wszedł do prochowni z zapaloną gałęzią. Spod gruzu wydobyto siedem ciał, a Taparicę zostawiono w spokoju.

W gasnącym świetle dnia Taparica zaprowadził swego oswobodziciela w głąb ogrodu, gdzie wznosiły się kopce czerwonej ziemi zwieńczone prostymi drewnianymi krzyżami. Następnie obaj zabarykadowali bramę pniami palmowymi.

Francisco Manoel rozwiesił hamak i położył się pod muślinową moskitierą, wsłuchany w symfonię żab i komarów. Pogratulował sobie: po raz pierwszy od czterdziestu siedmiu dni kołysał się we własnym rytmie, nie w rytmie statku.

* * *

O siódmej rano przybył wysłannik Yovogana z rozkazem, by Brazylijczyk natychmiast się stawił. Taparica potrząsnął głową.

– Król on potrzebować broń – powiedział. – Yovogan on przyjść do ciebie.

Tak się złożyło, że królestwo przechodziło jeden z częstych okresów zamieszek. Ludzie mieli dość bluźnierczych zwyczajów króla, który nie chciał „podlewać” krwią grobów swoich przodków, był tchórzem i pijakiem. Brakowało jedzenia, a żołnierzom skończyła się amunicja właśnie teraz, gdy plemię Alafinów z Oyo zagrażało atakiem od wschodu.

Wysłannik wrzasnął obelgę i odszedł, by wkrótce wrócić z zapowiedzią oficjalnej wizyty.

Obłoczki dymu z muszkietów poprzedzały nadejście Yovogana, kruchego

osiemdziesięciolatka, który na siodle zagłodzonej szarej szkapy przybył do fortu w różowym atłasowym stroju, podtrzymywany przez stajennych. Jeden z ludzi prowadził konia za uździenicę, inny obracał niebieską parasolką. W ślad za nimi ciągnął orszak.

Padał deszcz. Brnąc w błocie, chłopcy nieśli pudełko z cygarami starego, jego krzesło, stolik do kart i karafki. Kiedy minęli bramę, Yovogan dał znak, że chce zsiąść, a wtedy jeden ze stajennych uniósł go z siodła, postawił na ziemi i zdjął z jego głowy czarny szkocki beret.

Yovogan pstryknął palcami na powitanie, po czym wznosił toast winem palmowym za zdrowie króla oraz holenderskim dżinem za zdrowie królowej Portugalii. Sam nie pił, a zawartość obydwu kieliszków wlał w rozwarte usta akolity.

Rozmowa zaczęła się w łamanym języku portugalskim. Yovogan zbladł, kiedy pojął, że przybysz nie przywiózł prezentów. A co z barkentyną pełną jedwabiu? Co z powozem i końmi? Co z trąbkami? Albo ze srebrną strzelbą myśliwską?

– Nie ma żadnych prezentów – powiedział Francisco Manoel.

– Nawet chartów?

– Nawet chartów.

Nie będzie żadnych prezentów, dopóki król nie uwolni więźniów, nie odbuduje fortu i nie przywróci sprzedaży niewolników.

Zapanowało zamieszanie, potem gniew.

Ktoś zawołał:

– Śmierć białym!

A jedna z amazonek zakreśliła na palcu szablą i podetknęła ją Brazylijczykowi pod nos.

Kiedy jednak Yovogan podniósł rękę, ludzie rozeszli się, pomrukując.

Jeszcze tego samego popołudnia sjęstę Francisca Manoela przerwały okrzyki i trzaski biczów. Wyjrawszy z północnego bastionu, zobaczył grupę nagich mężczyzn, którzy dźwigali wiązki trzciny, deski, wiadra z muszlami ostryg i kubły z wapnem: chcąc naprawić wyrządzone szkody, Yovogan wysłał jeńców.

W ciągu kilku następnych tygodni porucznik da Silva pracował w upale, który większość białych zagnałby na hamaki albo do grobów. Nawet w rozedrgane od skwaru popołudnia, kiedy słońce wysysało wszelką barwę z ziemi i liści, Francisco Manoel rozbierał się do pasa, rzucał rozkazy i sam taszczył największe ciężary.

Czarni patrzyli ze zdumieniem na białego przy pracy.

Dachy pokryto strzechą, pobielono ściany, wyczyszczono cysterne. Działa znowu lśniły od czernidła i oleju palmowego. Ludzie z przepływających statków znowu widzieli powiewające na maszcie „pięć tarcz” rodu Braganza, które oznajmiały, że Fort Świętego Jana Chrzyciela ma niewolników na sprzedaż.

Pierwsza partia niewolników składała się z przestępców skazanych za kradzież królewskich orzechów palmowych. Kazano im jeść je tak długo, aż pękną. Żaden ze

skazańców nie wyglądał na zmartwionego faktem, że opuszcza Dahomej.

Przybijały kolejne statki niewolnicze – „Mithridate”, „Rinoceronte”, „Fraternidade” i „Bom Jesus” – a wszystkie przywoziły skrzynie z muszkietami, rumem, tytoniem, jedwabiem i perkalem. Alafini z Oyo nie zaatakowali. Król wyruszył na wojnę przeciwko bezbronnym hodowcom prosa z gór Mahi, a Francisco Manoel w ciągu dwóch lat wysłał do Bahii aż czterdzieści pięć statków z niewolnikami.

Joaquim Coutinho wykazał dość rozsądku, by zaproponować przyjacielowi miejsce w syndykacie.

Da Silva rzucił się w wir handlu tak, jakby nigdy nie parał się żadnym innym zajęciem. On, który zawsze uważał się za wolnego włóczęgę, stał się patriotą i człowiekiem zamożnym. Od przełożonych w Bahii nie przyszło ani słowo gratulacji, ale mimo to Francisco Manoel wierzył, że jego powołaniem jest zasilać czarnymi mięśniami ojczyste kopalnie i plantacje; wierzył też, że nagroda go nie ominie.

W tym złudnym przekonaniu trwał z uporem konwertyty. W bezsenne noce często leżał wsłuchany w dobiegające z baraków jęki i podzwanianie łańcuchów, ale wystarczyło, że przypomni sobie słodkie śpiewy w kaplicy na Tapuitaperze, by z czystym sumieniem przewrócić się na drugi bok.

Zamieszkał w apartamencie gubernatora. Odbudował kaplicę i sprowadził portugalskiego księdza, żeby odprawiał mszę przed każdym transportem.

Fortowy majordomus Taparica chodził w zielonym surducie, marynarskich spodniach z białego płótna i czarnym filcowym kapeluszu dwurożnym z papuzimi piórami. Ilekroć szli przez miasto, Taparica wychodził przed niosących hamak, dzwonił żelaznym dzwonkiem i żeby ludzie ustąpili z drogi, wołał:

– *Ago! Ago!*

Taparica sypiał na macie pod drzwiami pokoju pana. Przygotowywał i próbował jego jedzenie, kontrolował napoje, opróżniał wiadro z pomyjami. Wynajdował dla niego dziewczyny, dostarczał afrodyzjaki w szczególnie parne dni i ostrzegał pana przed wiązaniem się na dłużej.

Francisco Manoel korzystał z tej samej dziewczyny przez jedną lub dwie noce, po czym odsyłał do domu z podarunkiem dla rodziny.

Jego zyski, a także sława uczciwego handlarza irytowała weteranów z branży. Zdarzyło się, że kapitan Pedro Vicente wyblągał od niego statek z niewolnikami, nie zapłaciwszy ani pieniędzmi, ani towarami. Przyrzekł, że wróci, ale zyski przepuścił w Bahii i więcej się nie pojawił. Jakiś czas później, dowiedziawszy się, że ten sam człowiek przebywa w Lagos ze statkiem nienadającym się do rejsu i zbuntowaną załogą, Da Silva posłał swój kuter z wiadomością: „Przyjedź do Ouidah, to wyremontuję ci statek. Nikt nie oszukuje mnie dwukrotnie”.

Równie prostolinijnie starał się postępować w kontaktach z królem.

Ci dwaj nigdy się nie spotkali: tabu nie pozwalało dahomejskim władcom patrzeć na ocean. Jeśli jednak król zapragnął dwunastu złożonych krzesel, to mu je posyłano. Jeśli zapragnął dwudziestu kapeluszy z piórami, znajdowano kapelusze. Dostał nawet swoje charty, sprowadzone specjalnie z Anglii, chociaż w drodze do Abomeyu charta pogryzła wściekła suka.

Mniej więcej raz na miesiąc Francisco Manoel otrzymywał zaproszenie do stolicy. Każdy list czytał uważnie i grzecznie odmawiał. Na pierwszym zaproszeniu portugalski skryba króla dopisał na marginesie ostrzeżenie:

„Ja, Antonio Maciel, od szesnastu lat jestem więźniem tego okrutnego króla i ani razu nie widziałem żadnego z moich rodaków...”.

W styczniu król wyruszył na wojnę, a z końcem marca zaczęły do Ouidah docierać grupy skutych łańcuchami jeńców.

Byli oniemiaли ze strachu i wyczerpania. Widzieli, jak płoną ich domy, a wodzowie idą pod nóż. Szyje obcierały im żelazne obręcze, plecy pokrywały purpurowe rany po chłóście. Na widok statków białych ludzi pojmwali, jaki czeka ich los.

Bezmyślne okrucieństwo Dahomejczyków kłóciło się ze zmysłem praktycznym Da Silvy. Raz po raz tłumaczył Yovoganowi, że strażnicy niszczą cenny dobytek, ale stary tylko wzdychał i mówił:

– Taki już mają zwyczaj.

Po przybyciu do fortu umieszczano niewolników w długiej szopie zadaszonej suchą trawą i otoczonej ostrokołem. Każdego przykuwano do żelaznego łańcucha biegnącego pędami przez całą długość szopy. Strzecha sięgała ludziom poniżej pasa, a kiedy nabywcy zaglądali do środka, widzieli tylko błyszczące w ciemności oczy.

Każdego ranka, po dzwonach na Anioł Pański, niewolników karmiono gotowanym prosem z kotła, następnie pędzono na lagunę, gdzie się myli i tańczyli, żeby zażyć ruchu.

Taparica leczył chorych i koił ich lęki: bełkocząc tuzinem narzeczy, opowiadał im o przyszłym kraju, gdzie wszyscy tańczą, a cygara rosną na drzewach. Taparica nauczył swego pana odróżniać rozmaite plemiona po bliznach na twarzy. Potrafił oszacować wiek mężczyzny po stanie jego dziąseł, a w razie wątpliwości lizał mu policzki, żeby sprawdzić sprężystość zarostu.

Załadunek odbywał się w wieczornym chłodzie, kiedy ocean był spokojny. Ta sama scena powtarzała się rokrocznie: statek, fale, czarne łodzie wiosłowe, pozbawieni siły czarnoskórzy mężczyźni i niewolnicze piętna rozgrzewające się w ogniskach z drewna wyrzuconego przez fale.

Francisco Manoel wolał własnoręcznie piętnować niewolników. Pilnował, by rozżarzone żelazo zostało zanurzone w oleju palmowym, żeby nie przylegało do ciała.

Przy linii wody zdejmowano łańcuchy, aby w razie wywrócenia się łodzi jeden człowiek nie pociągnął na dno pozostałych. Tylko czasem, w ostatnim zrywie wolności, któryś z niewolników rzucał się do wody. Jeżeli później fale wyrzuciły na brzeg rozdarte przez rekiny ciało, Taparica grzebał je na wydmach, wzdychając:

– *Ignorantes!*

* * *

Minęło pięć lat upału, mgły i deszczu. Brytyjczycy przestali uważać Ouidah za port niewolniczy, a kiedy fregata Eskadry Zachodnioafrykańskiej zaatakowała bryg „Barboleta”, zatrzymany przez ciszę morską u wybrzeży Ouidah z pięciuset niewolnikami na pokładzie, Da Silva przyglądał się walce przez lunetę i powiedział:

– Przynajmniej coś się dzieje.

Brazylijscy kapitanowie często musieli czekać całymi tygodniami na możliwość wypłynięcia, ale gospodarz nie szczędził wydatków na ich rozrywki. Jego jadalnię oświetlały świece w srebrnych kandelabrach, za każdym krzesłem stała naga do pasa służąca z białą serwetą przerzuconą przez ramię. Czasami jakiś pijany wołał:

– Co to za kobiety?

Da Silva kierował wtedy srogi wzrok na stół gościa i odpowiadał:

– Nasze przyszłe morderczynie.

Widok białych rozsypujących się w tropikach napelniał go obrzydzeniem. Jakże nienawidził ich pustego śmiechu! Kiedy przyszczate twarze gości rozmywały się w kłębach dymu z cygar, Francisco Manoel przeproszał i wymykał się, żeby być sam.

W czwartki wkładał pułkowy mundur i szedł na obiad z Yovoganem na dziedzińcu ozdobionym ochrowymi freskami kameleonów.

Yovogan był tak stary, że pamiętał sterty czaszek usypane na cześć dahomejskiego podboju Ouidah w 1741 roku. Dla rozbawienia gości skrzeczał refren opowiadający o użyciu głowy zabitego króla jako moździerza:

Doli dohò mè sè

Boli sa boli sè

Yovogan tak bardzo lubił białego przyjaciela, że zaprowadził go do sypialni, żeby popisać się swoim garłaczem i dziewięcioma różańcami z ludzkich zębów trzonowych – pamiątkami po krwawej młodości. W nie mniejszym stopniu był przywiązany do europejskich prezentów – porcelanowego brandenburskiego imbryka czy stojaka z przyprawami, podarunku od Królewskiej Kompanii Afrykańskiej – ponieważ przypominały mu dni, kiedy na redzie stały statki z całego świata.

Yovogan drżał na każdą wzmiankę o królu. Pewnego dnia rozpakował oprawioną grafikę przedstawiającą gilotynę na placu Zgody, prezent, który podarował mu gubernator Deniau przed wyjazdem do Francji.

Idea ścięcia głowy królowi w miejscu publicznym uderzyła starego z siłą objawienia. Deniau wyjaśnił, że tyran traci prawo do życia, a chociaż Yovogan nigdy nie pojął logiki tej argumentacji, to egzekucja króla pozostała wstrząsającym precedensem.

Da Silva nie przestał marzyć o Bahii. Ilekroć statek wypływał w morze, patrzył, jak noki rei znikają w ciemnościach nocy, potem zapalał fajkę na werandzie i oddawał się marzeniom o przyszłości: będzie miał duży dom z widokiem na morze, a z ogrodu będą dobiegać śmiechy wnuków i szmer wody. Po chwili jednak miraż się rozwiewał. Dudnienie bębnow uciskało mu skronie, a przecucie mówiło mu, że nigdy nie wydobędzie się z Afryki.

Nikomu nie zwierzał się ze swoich lęków. Chcąc przekonać samego siebie o ich nierealności, siedział do późnej nocy z zaczerwienionymi oczami i pisał listy do Joaquina Coutinho. Usiłując jak najlepiej wyrazić własne myśli, darł kartkę za kartką:

„Ci ludzie muszą być największymi złodziejami na świecie. Wolałbym żyć na każdym kontynencie, byle nie na tym. Chciałbym żyć w krajach lodu i śniegu, gdziekolwiek, byle dalej od ich bełkotu...”.

Albo:

„Wprost nie potrafię opisać mojej kretyńskiej egzystencji. Nie masz pojęcia, jak samotne jest życie bez rodziny i przyjaciół. Może w przyszłym roku wrócę i ożenię się...”.

Prosił o wiadomości, o każdy okrucieństwo wiadomości, żeby powstrzymać wspomnienia Brazylii od blaknięcia. Odpowiedzi Joaquina były jednak nieodmiennie chłodne i handlowe:

„Nasz bryg «Legitymo Africano» dostarczył dzisiaj Twoją partię 230 sztuk (144 m 86 ż), a także 41 500 orzeszków kola (żeńskich). Z przykrością zawiadamiam o stracie jednej trzeciej z powodu krwawej biegunki. Chciałbym poznać Twoje zdanie w kwestii tego, dlaczego kobiety radzą sobie znacznie lepiej niż mężczyźni. Tymczasem wyżej wymienione przedmioty zostaną sprzedane za możliwie najwyższą cenę, a Twój udział zostanie Ci spleacony w rusznicach, tytoniu i żelazie...”.

Wspólnik Joaquina pytał, dlaczego nie mianowali go gubernatorem fortu. Jakże pragnął usłyszeć choćby jedno słowo świadczące o tym, że byli świadomi jego istnienia! „Mogę Cię zapewnić, że moje zachowanie jest bez zarzutu”.

Członkowie syndykatu nie zapomnieli o Da Silvie. Ponieważ jednak czerpali prywatne zyski z jego działalności, nie mogło być mowy o publicznym uznaniu.

Oficjalnie fort w Ouidah przestał istnieć.

Afryka stopniowo zalała go i wciągnęła w głąb. Z osamotnienia przyjął miejscowe zwyczaje, a może był to wyraz rozpaczliwej walki z klimatem.

Zaczął nosić długie pantalony zamiast bryczesów, które podrażniały mu pachwiny. Zakładał amulety przeciwko Złemu Oku. Taparica nauczył go tańczyć przed fallusem Papy Legby i razem chodzili do wróżbitów.

Nie opuszczał go obsesyjny lęk przed chorobą. Ponieważ jednak jego służący znał tajemnice leczniczego działania odchodów, a Francisco Manoel ufał mu bezgranicznie, nie miał innego wyjścia, jak pić własny mocz podczas ataku wątroby, łykać mocz i jamy na malarię, a kiedy kaszłał, odmawiał modlitwę do świętego Sebastiana i wrzucał do kawy odchody drobiu.

Czasami chodzili wieczorem do Świątyni Pytona, żeby patrzeć, jak nowicjusze zatapiają zęby w szyjach żywych kóz. Widzowie zataczali się ze śmiechu, kiedy chłopcy fikali salta jedni przez drugich i naśladowali ruchy sodomii.

Kiedy na niebie tańczyły błyskawice, wyznawcy Boga Piorunów przecinali sobie toporkami łopatki, a potem wili się i wypinali pośladki do nieba.

Nie pojmował, co przyciągało go do tych misterii. Krew? Bóg? Woń potu, a może wilgotne, połyskliwe ciała? Nie potrafił jednak wyzwolić się z tego nałogu, a zdając sobie sprawę, że Afryka jest jego przeznaczeniem, wziął sobie afrykańską narzeczoną.

Nazywała się Jijibou.

Miała szesnaście lat.

Jej ojciec, Dehoué, był wodzem wioślarzy, a jego jedyną ambicją było posiadanie białego zięcia. Czterokrotnie przychodził do fortu, za każdym razem proponując kolejną ze swych córek. Po czwartej odmowie zagroził strajkiem; Yovogan powiedział, że odrzucanie żon stanowi poważną obrazę.

W pewien grudniowy wieczór Dehoué przybył znowu, tym razem z muzykami oraz postacią owiniętą w białą tkaninę. Jedynym odgłosem w mieście był szum fal rozbijających się o pas mielizn. Jaskółki cięły zielone powietrze. Dziewczyna minęła widzów i zerwała zawój.

Miała sowe oczy, odęte usta i różowe jak muszla paznokcie furkoczące na opuszkach palców. W uszach lśniły złote koła. Szyja miała kształt idealnego walca. Nogi lśniły jak metalowe pręty, a jej tors, odziany jedynie w indygową przepaskę, był twardy, a przy tym giętki jak zawias.

Na odgłos bębna ramionami dziewczyny wstrząsnął dreszcz. Okręciła się. Wykonała piruet. Podeszła dumnym krokiem. Rękami pompowała powietrze, stopami wzbijała pył. Pot

łał się po piersiach dziewczyny, a twarz Brazylijczyka owionął zapach piżma: ani razu nie spuściła z niego wzroku.

Bębniarze przestali grać.

Dziewczyna stanęła przed Franciskiem Manuelem na palcach, zakołysała biodrami i leniwie wyciągnęła język. Przyzwała go rękami. Ugięła nogi w kolanach. Potem wygięła się w tył, aż dotknęła głową do ziemi.

Pochwyciwszy wzrok jej ojca, Francisco Manoel skinął głową.

Taparica zaszczekał zębami z przerażenia.

– Ty nie znasz tych ludzi – powiedział, po czym się naburmuszył.

Da Silva uznał jego słowa za przejaw zazdrości i zabrał się do przygotowywania ślubu.

O północy zostawił zdyszana dziewczynę za zasłoną łóżka i cisnął zakrwawione prześcieradło tłumowi jej krewnych, którzy wypili znacznie więcej rumu, niż przewidywał.

Nazajutrz Taparica modlił się, by krew pochodziła z zadrapanej twarzy pana, ale jego nadzieje rozwiały się, kiedy usłyszał gromki śmiech matki panny młodej oglądającej nocne dzieło.

Francisco Manoel cieszył się ze zmiany. Południowo-Zachodnie skrzydło fortu rozbrzmiewało teraz łomotaniem mózdzierzy i śmiechem dojrzałych kobiet. Smakowały mu ostre potrawy Jijibou. Lubił wykręcać język na dysonansowych sylabach języka fon. Kiedy się z nią kochał, przesuwała mu po kręgosłupie stwardniałymi piętami, na przemian to jedną, to drugą.

Ilekczo próbował pocałować ją w usta, zaciskała wargi, ale widok nowego prezentu sprawiał, że zaczynały jej drzeć nozdrza. Przymilała się o chustkę z kantońskiego jedwabiu: co tylko wpadło jej w oko, chwytala palcami i bawiła się tym jak dziecko.

W czwartek podarował jej holenderskie lustro, a Jijibou przeglądała się, przekrzywiając głowę raz w lewo, raz w prawo, aż do soboty, kiedy lustro rozbiło się na podłodze.

Brzuch jej nabrzmiał i urodziła chłopca koloru różowego koralu. Nadano mu imię Isidoro, a położne zakopały pępownię w korzeniach baobabu.

Przyjście na świat męskiego potomka stanowiło dla krewnych Jijibou sygnał, żeby się wprowadzić. Nie było dnia, by jakiś nowy kuzyn nie poprosił o jedzenie. Jijibou wykradała klucz do składu z alkoholem i dawała go braciom. Kiedy Francisco Manoel prosił żonę, żeby ich powstrzymała, odpowiadała:

– Okradanie białego to nie kradzież.

Poskarżył się Yovoganowi, ale starzec spojrzał tylko sennie na kameleony i odparł:

– Taki już mają zwyczaj.

Pewnej nocy z domostwa Yovogana dobiegło wycie. Stary umarł w delirium, a ciało napuchło i pozieleniało. Taparica wiedział, z którego kaktusa pochodziła trucizna, powiedział, że „nie miała smaku”, i błagał pana, żeby odpłynął brazylijskim brygiem, który stał na redzie.

Jednak Francisco Manoel nie chciał porzucić majątku.

Nadeszły niedobre dni: król wpadł w tarapaty, za które obwinił cudzoziemców.

Na miejsce Yovogana mianował dowódcę brygady Atchi, mężczyznę o wielkich ustach, za to praktycznie pozbawionego szyi, który podczas pierwszego spotkania kazał Brazylijczykowi czekać z gołą głową pięć godzin w słońcu. Poproszony o uregulowanie królewskiego długu, dowódca skrzyżował ręce na piersiach i oświadczył:

– Dahomejczycy nigdy nie sprzedają niewolników białym.

Po miesiącu w baraku dla niewolników kuśtykało tylko kilka kalek. Ludzie zamykali Da Silvie drzwi przed nosem. Chłopcy przebiegali przed nim, krzycząc:

– Nie ma przejścia dla białych!

Urzednicy pobierali od niego opłatę za zejście na plażę i o wiele wyższą za powrót. Pewnego ranka na ołtarzu w kaplicy pojawił się czarny kogut bez głowy.

„Zycie – pisał Francisco Manoel do współnika – nie jest już tym, czym było w zeszłym roku, kiedy opływaliśmy w luksusy i zarabialiśmy krocie. Przeszukuje się nas w najbardziej poniżający sposób, a czarni wprost kipią nienawiścią i zawiścią wobec białych. Co gorsza, nasz przyjaciel, król Dahomeju, został rabusiem. Kupuje, ale nie płaci. Jest mi winien za broń z «Atalante», za cały ładunek «Flor da Bahia» i od dziewięciu miesięcy nie przysłał na wybrzeże ani jednego jeńca. Nie wiem, co robić. Może powinienem przenieść się do Badagry i zacząć handlować z królem Oyo? Mój człowiek Fernandinho opowie ci o wszystkim, albowiem jest jedną z ofiar...”.

Ale Fernandinho nie dostał się z tym listem na pokład. Celnicy, zanim pozwolili mu wejść na statek, odebrali mu wszystko, co posiadał. Dziesięć dni później – tyle czasu trwało odczytanie odręcznego pisma – żołnierze aresztowali Francisca Manoela i zawlekli przed oblicze nowego Yovogana.

Deszcz padał przez cały dzień, a w mieście nadzy mężczyźni namydłali się nawzajem w czerwonych kałużach. Na zewnętrznym dziedzińcu chłopcy przesypywali muszle porcelanek do worków z trawy. Nagle usłyszał donośny krzyk. Coś przygniotło mu ramiona. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była czyjaś stopa przydeptyująca mu krtań.

Gdy odzyskał przytomność, leżał w błocie, a oczy przesłaniała mu czerwona błona; upadając, uderzył głową o krawędź moździerza. Prawa dłoń, z której zerwali mu brazylijską ślubną obrączkę, mocno opuchła. Zakutego w łańcuchy, wrzucili do cuchnącej chaty.

Strażnicy szczypali go, ciągnęli za włosy i kopali w nerki. Z rany na głowie ciekła ropa. Miał biegunkę. Mali chłopcy się śmiali.

Straciwszy poczucie czasu, czekał na śmierć, jak czeka się na przyjaciela. Zamiast śmierci przybył posłaniec z rozkazem zabrania więźnia do stolicy.

Wspomnienia z podróży rozmyły się w barwną smugę.

Przez tydzień rzucał się na hamaku, zerkając w gorączce na strużki potu ściekające

tragarzowi po plecach. W jednej z wiosek widział głowy zatknięte na palach, w drugiej kobiety wskazywały na drzewo, gdzie ukrzyżowany mężczyzna, w otoczeniu śpiących nietoperzy, ochrypłym głosem błagał o wodę. Przechodząc przez Wielkie Bagna, mijali porośnięte trzcinami jeziora, gdzie czerwone ptaki siedziały na uschniętych gałęziach, a nad nenufarami śmigały błękitne ważki. Tragarz potknął się na grobli, a potem szlam odpadał mu z ud grubymi szarymi płatami.

Do Abomeyu dotarli w nocy.

Pałac w Abomeyu miał wysokie mury z błota i krwi, ale bardzo niewiele drzwi. Znajdował się w odległości dwudziestu trzech tysięcy pięciuset dwóch bambusowych kijów od plaży. W samym środku kompleksu pałacowego mieszkał król z eunuchami i trzema setkami uzbrojonych kobiet.

Strażnicy umieścili więźnia w niskim domu krytym strzechą. Kiedy odzyskał siły, zaczęli go zabierać na spacer po mieście, ale łomotanie bębnow, ciała bez głów oraz smród zgnilizny przyprawiały go o coraz silniejsze zawroty głowy, tak że musiał wracać do łóżka.

Król przechodził czasami wzdłuż muru w głębi dziedzińca, ale Da Silva widział jedynie biały parasol ozdobiony żuchwami.

– Kiedy zobaczę króla? – zapytał, na co strażnik przymknął powieki i przesunął palcem wskazującym po grdyce.

Pewnego ranka, kiedy piał koguty, przyszło trzech eunuchów, którzy kazali mu się ubierać. Nie śmiejąc rozglądać się na boki, ruszył za ich szeleszczącymi pomarańczowymi szatami przez dziedzińce pełne wrzeszczących ludzi; jak okiem sięgnąć, wykorzystane do budowy białe czaszki przewyższały liczebnością głowy żywych.

Stanęli przed obliczem króla.

Monarcha wylegiwał się na podglówku z karminowego aksamitu w otoczeniu nagich kobiet, które wachlowały go strusimi piórami i ocierały mu pot z czoła.

Był wysokim, żyłastym mężczyzną o suchych czerwonych oczach, automatycznych ruchach i jowialności doświadczonego mordercy. Wschodzące słońce oświetlało jego pierś. Paznokcie zakrzywiały mu się jak kogucie pióra. Nosił purpurową przepaskę i sandały ze złotego drutu. U jego stóp leżały głowy chłopca i dziewczyny, pół godziny wcześniej posłanych do Zmarłych Królów z wiadomością, że ich potomek się obudził. Spojrzał na Brazylijczyka i splunął.

Wszyscy poddani leżeli na ziemi, a kiedy król uniósł pałkę, wtarli nosy w proch i zawyli:

– Dada! Oddychaj za mnie! Dada! Okradnij mnie! Dada! Dada! Złam mnie! Weź mnie! Jestem twój!

Jeden z trubadurów wyczołgał się przed szereg, wskazał na Da Silvę i powiedział głuchym głosem:

– Ptak, który opuszcza gniazdo, nie może zabrać jaj.

Karzeł albinos podskoczył, zasalutował, zaskrzeczał w mowie białych i zagulgotał, jakby go duszono.

Więzień wiedział jednak dobrze, że nie wolno mu okazać strachu. Usta króla, niczym pod wpływem ssania, rozciągnęły się w poplamionym tytoniem uśmiechu.

Pod koniec audiencji Francisco Manoel był przyjacielem króla.

Nie oznacza to, że odzyskał wolność. Po prostu do jego domu zaczęli tłumnie przychodzić ludzie – żeby go zobaczyć, dotknąć, prosić o uzdrowienie, ofiarować jedzenie. Ministrowie składali mu wizytę, przybywali książęta. Przyszedł jakiś człowiek z guzem wielkości bochenka chleba, a także kobieta z owocami, która powiedziała:

– Jestem twoją matką.

Francisco Manoel odnalazł portugalskich więźniów i zanotował ich nazwiska: „Luis Lisboa... Antonio Pires... Roque Dias de Jordão...”. Kiedy jednak poprosił o ich uwolnienie, król odpowiedział:

– Jesteś moim przyjacielem. Nie mów o moich wrogach.

Król mówił, że kocha go „za bardzo”, i zmuszał do uczestnictwa we wszystkich ważnych uroczystościach. I tak Francisco Manoel zobaczył Ofiarę Konia i Ofiarę Platformy, podczas której kosze ze związanymi ofiarami rzucono katom. Widział, jak duchy Zmarłych Królów kroczyły w powolnym, nieskładnym marszu szkieletów. Widział Zmarłe Matki Królów barwne i energiczne; ćwierkające, odziane na biało królewskie „Ptaki” oraz Damy Pałace Fajki, o dość mizernym wyglądzie.

Nierzadko król tańczył sam, potrząsając szkaplerzami i drepcząc wokół czaszek swoich ulubionych ofiar. Dla rozrywki uczył małych chłopców ścinać głowy, a kiedy spartaczyli robotę, krzyczał:

– Nie tak, głupku! Wyobraź sobie, że rąbiesz drzewo! Co pewien czas szturchał przyjaciela pod żebro i ryczał:

– Ha! Białasie! Z twojej głowy też piję.

Król błaznował, dworzanie rechotali, a Francisco Manoel zastanawiał się, jak się skończy cała ta farsa.

A jednak nie był sam. Pewien młodzieniec ani na chwilę nie spuszczał go z oczu.

Miał wysokie, szerokie czoło, połyskujące brwi i lśniące zęby. Na ramieniu nosił żelazną obręcz. Różowa tunika, rozcięta po bokach, odsłaniała plecy i pierś, a za pasem błyszczał nóż myśliwski.

Jego jedynym defektem było bielmo w przekrwionym prawym oku.

Wydawało się, że usiłuje przekazać jakąś wiadomość, ale kiedy Francisco Manoel odwzajemniał uśmiech, twarz tamtego przybierała bezmyślny wygląd.

Strażnik powiedział, że jest to Kankpé, szalony przyrodni brat króla.

Inny, bardziej zaprzyjaźniony strażnik szepnął, że Kankpé tylko symuluje chorobę umysłową, że w istocie jest prawowitym królem i tylko czeka na znak do wzniesienia powstania.

* * *

W kwietniu, kiedy purpurowe kwiaty arum wznosiły kielichy na iganowych polach, po mieście rozeszły się nowe pogłoski.

Wróżbici przepowiadający przyszłość z żółtek jaj i powierzchni wody zapowiadali nadejście katastrofy lub zmiany. W Sado kobieta wydała na świat chłopca, który był w połowie lampartem. Wojna przeciwko plemieniu Egba zaowocowała zaledwie pięcioma jeńcami, a zachowanie króla wykroczyło poza granice nawet dahomejskiej tolerancji.

Kazał związać swoich dwóch głównych ministrów, Mingana i Meu, po czym plunął im w twarz rumem. Żołnierza, który miał za szerokie biodra, polecił wykastrować. Jego synowie zbezczeszili królewski grób, a on sam rozplątał brzuch jednej ze swoich żon, żeby dowieść, że nosi w łonie chłopca.

Podczas porannej audiencji jakiś starzec przecisnął się przez tłum i wskazał palcem na tron. Miał zapadnięte policzki, pierś wysmarowaną białą mazią, a białe łachmany zwisały mu luźno z bioder.

– Kim jesteś? – spytał król.

– Nie poznajesz Adjaholanhouna? – odparł tamten. – To ja otrujęm na twój rozkaz twojego ojca. Teraz Zmarli Królowie uwięzili mnie za to, że pomagałem ci w zbrodniach.

Król wzdrygnął się i kazał nakarmić starca. Ten jednak rzucił placki kukurydziane przez lewe ramię i powiedział:

– Zmarli tak właśnie jedzą. – Wino palmowe wylał przez prawe ramię i oznajmił: – Zmarli tak właśnie piją.

Tłum się rozstał, starzec zniknął we mgle i nikt nie potrafił znaleźć jego śladów.

Przez cały miesiąc hieny chodziły nocą ulicami, a w dzień w mieście panowała cisza. Król znużył się zabawami z więźniem. Więzień patrzył na śmierć jak na oblicze wylaniające się w lustrze; zwiślał bezwładnie, kiedy wyciągali go i rzucali przed tronem.

Król stanął nad nim, a jego cień padał ciemnymi ukośnymi pręgami.

– Dlaczego Portugalia wysłała trzysta trzydzieści pięć okrętów przeciwko Ouidah?

– Nie wysłała.

– Dlaczego zabiłeś mojego charta?

Francisco Manoel chciał odpowiedzieć, ale strażnicy zakneblowali mu usta drewnianym czopem.

– A więc uważasz, że jesteś biały? – spytał szyderczo król i kazał go odprowadzić do więzienia.

Strażnicy ogolili więźniowi głowę i zanurzyli go w kadzi z indygo.

Chcąc dopilnować, by barwnik dotarł do wszystkich porów, kazali mu zanurzyć głowę i oddychać przez słómkę. W jednym miesiącu księżycowym zanurzyli go pięciokrotnie, ale za każdym razem, kiedy go szorowali, pojawiała się szara skóra, więc wsadzali go z powrotem do kadzi.

Potem, ponieważ nigdy wcześniej nie ścięto głowy białemu – oraz dlatego, że biel była kolorem zmarłych, a biali już i tak byli na wpół martwi – wydali go na śmierć bez wody, cienia i pożywienia.

Zwiotczały mu nogi. Brzuch napiął się jak bęben. Skórę pokryły wodniste krosty; każdy ruch sprawiał przeszywający ból. W nocy oblażyły go fosforyzujące stonogi. Sępy pokrywały go amoniakowymi odchodami, bijąc się o miejsce pod murem i prostując skrzydła z odgłosem rozdieranego jedwabiu.

Majaczył, że przechodzi przez amfiladę dusznych pokoi, a w każdym z nich widzi na srebrnej tacy własną głowę rojącą się od much mięsnych. Rozwiera palcami powieki, błyska zielone światło, muchy zaczynają bzyrzeć, padają, *ping... ping...* i eksplodują w obłokach dymu.

Czasami widział księcia Kankpé, jak fresk na murze, uśmiechającego się i odsłaniającego szczerbę między przednimi zębami.

Przed oczami Francisca Manoela przesuwają się obrazy Brazylii: żalony gliniany dom, bujająca się noga matki, płacz jego dziecka, pokutnicy na Monte Santo, skarby rodziny Coutinho, i kiedy tak wyliczał wszystkie błędne decyzje, które doprowadziły go do obecnego położenia, dławił się litością nad sobą i obiecywał, że jeśli kiedykolwiek wydostanie się z Afryki, wstąpi do zakonu.

Zdarzało się też, że zaśmiewał się z bezsensu umierania w tej kostnicy, gdzie martwi byli bardziej żywi od żywych.

A kiedy nadeszła śmierć, stało się to w nocy, bezgłośnie. Poluzowała łańcuchy, łagodnie wniosła go na drabinę przez więzienny mur i złożyła na poduszkach.

Kankpé wykradł wiklinową lektykę do przewozu muszli porcelanek, używanych do corocznego spisu. Nikt, nawet celnik, nie miał prawa zaglądać do środka. Tragarze ruszyli na północny zachód i przekroczyli granicę, zanim wszczęto alarm.

* * *

Francisco Manoel ocknął się z zamroczenia i pozwolił oczom błądzić po łuszczącej się ścianie glinianej chaty. Gdzieś zapiał kogut. Usłyszał kobiecy śmiech, a z doliny dobiegł dźwięk fletu.

Drzwi przesłonił cień i do chaty wszedł siwy mężczyzna z tykwą pełną pianistego mleka.

Piana oblepiła leżącemu brodę; otarł ją ręką i znowu zapadł w sen.

Później ten sam człowiek powiedział mu, kim był jego wyzwoliciel: Francisco Manoel miał czekać we wsi, aż Kankpé będzie mógł do niego dołączyć.

Spacerował po wypalonych wzgórzach, gdzie pasło się długorogie bydło. Daleko na zachodzie skarpa rozbijała horyzont na purpurowe i błękitne fasety. Kraina ta przypominała mu sertão, tyle że tutaj cierniste drzewa miały pomarańczową korę, a długie białe kolce zdawały się lśnić.

Pewnego ranka obudził się i usłyszał, że Kankpé poluje w buszu nieopodal. Szli z chłopcem aż do zmroku i w końcu dotarli do umieszczonej w korzeniach drzewa tykwy z wodą.

Usłyszeli go, zanim zobaczyli, jak nadchodzi przez trawę. Świeżo upolowana antylopa poszerzała trapez jego torsu; przepaska z brązowej skóry dodatkowo podkreślała jego nagość.

W gasnącym świetle dnia Kankpé odarł zwierzę ze skóry, rzucił psu tłuszcz i zakopał wnętrzności, żeby dusza antylopy mogła zaznać spokoju. Potem zjedli mięso, upieczone na ogniu z zielonych młodych drzewek.

W zaroślach zaszczekał lampart. Kankpé podczołgał się na skraj polany, zaszczekał w odpowiedzi i na chwilę ujrzeni w blasku ognia cętkowany pysk.

– Mój ojciec – powiedział Kankpé, po czym ułożył się do snu.

Przez następne pięć dni polowali razem, szukając wspólnych upodobań, które pozwoliłyby im przełamać barierę koloru skóry i obyczaju.

Kankpé pokazał mu tropy różnych antylop – gazeli, kobów, guib i bubal. Podkradał się do stada, to biegnąc, to czołgając się, to zastygając bez ruchu jak mrowisko, gdy zwierzę unosiło pysk, by węszyć na wietrze. Wbiegał na mokradła, żeby wypłoszyć guźca, albo umykał na drzewo przed bawołem. Dzidę rzucał tylko wtedy, gdy był pewien, że trafi. Bronią palną gardził jako bronią tchórzy.

Piątego dnia zawarli przymierze krwi.

Księżyc w ostatniej kwadrze oblepiał światłem pękaty pień baobabu. Dzioboróg zastukał gdzieś dziobem, a nieopodal zawył szakal.

Obydwaj mężczyźni, nadzy jak ich Pan Bóg stworzył, uklękli twarzami ku sobie i przywarli do siebie udami; przymierze nie miałoby mocy, gdyby dotykali genitaliami ziemi.

Księżyc odbijał się od czarnych ud i bicepsów, ale biała skóra wchłania równomiernie księżycowe światło.

Ze skórzanej torby Kankpé wyjął kubek zrobiony z czaszki. Ustawiwszy go między ich kolanami, dodał niezbędne składniki: popiół, fasolę, miąższ baobabu, kamień, strzałkę piorunową, kulę wyjętą z trupa oraz sproszkowaną głowę żmii rogatej.

Kubek do połowy nappełnił wodą. Potem nacięli sobie nawzajem palce i patrzyli na kapiącą czarną krew.

Wypili kolejno, przesuwając językiem po kuli i strzałce piorunowej.

Kankpé przewrócił oczami i wymruczał zaklęcie:

– *A dâ la... A dâ la...* Bracia krwi żyją razem i razem muszą umrzeć.

Francisco Manoel pił z beztroską człowieka, który umknął pewnej śmierci. Dopiero trzydzieści lat później miał uzmysłwić sobie zakres zaciągniętych zobowiązań.

5

Francisco Manoel ruszył do Anecho, portu niewolniczego na zachód od Ouidah, leżącego na terytorium plemienia Popo. Fabryka nad laguną należała do pana George'a Lawsona, garbatego Mulata, syna angielskiego kapitana nazwiskiem George Law. W domu nadal pełno było angielskich bibelotów, ale angielskie statki przestały zawijać do portu, a w salonie zagnieździły się perliczki.

Francisco Manoel pragnął się wyrwać, zapomnieć, zacząć od nowa. Obserwował horyzont przez lunetę pana Lawsona, czekając, aż ciemny kształt przepołowi dwa półkola szarości, ale statek kazał na siebie czekać. Wieczorami grywał w szachy, rozpraszając przeciwnika opowieściami o Abomeyu.

W końcu stara feluka pod portugalską banderą rzuciła kotwicę i wysłała łódź na brzeg. Statek płynął z Lagos do Bahii, ale burza zmyła z pokładu beczki z wodą pitną, więc musieli uzupełnić zapasy. Kapitan zgodził się zabrać Francisca Manoela; załoga wzięła go za jeszcze jednego szaleńca z afrykańskiego portu.

Myśli o Bahii nie pozwoliły mu zasnąć ostatniej nocy na łądzie. Już widział zatokę, kościoły i portowe knajpy. Jednak o świcie uświadomił sobie, że wróciłby jako nędzarz. Przypomniał też sobie obietnicę złożoną księciu Kankpé, a rano był gotowy do zemsty.

W liście do Joaquim Coutinho, bagatelizując własne cierpienia, powiadomił syndykat o możliwości uwolnienia Dahomeju od potwora i zastąpienia go własnym kandydatem.

Syndykat odpowiedział transportem muszkietów, rumu i tytoniu. Tragarze spotkali się na granicy z partyzantami księcia Kankpé. Szkarłatny jedwab podarty na proporce stał się symbolem rewolty.

Francisco Manoel czekał i nie przestawał grać w szachy. Właśnie zaczął nową partię z panem Lawsonem, kiedy do salonu wpadł królewski wysłannik i wykrztusił nowiny.

Niespełna pięć dni wcześniej dwaj główni ministrowie przybyli na poranną audiencję, ale zamiast się czołgać i posypywać głowy pyłem, zawołali:

– Zmarli Królowie cię zdetronizowali!

Po czym każdy z ministrów zdjął po jednym ze złotych sandałów, które mógł nosić jedynie król.

Usłyszawszy ten werdykt przodków, król skrzywił się, abdykował i dał się zamknąć w więzieniu, gdzie spędził kolejne czterdzieści lat w otepieniu natrętnego jedzenia, wydając rozkazy wyimaginowanych egzekucji.

Pan Lawson wypluł strąk tamaryszku, który właśnie żuł, i powiedział:

– Wszyscy Dahomejczycy to kłamcy, a nowy król będzie równie zły, jak jego poprzednik.

Francisco Manoel zadrzał na wspomnienie Abomeyu i nie chciał wyjechać z posłańcem. Kiedy przybywali kolejni, proponując najrozmaitsze honory i monopol w handlu niewolnikami, Francisco Manoel odmawiał.

I nigdy by się nie zgodził wyjechać, gdyby pewnego wieczoru czarna łódź wiosłowa nie przypłynęła wśród wiewiórek i nie przybiła do przystani Lawsons. Na brzeg wysiadła długonoga postać. Był to Taparica.

Pan i sługa padli sobie w ramiona, co zaskoczyło ich obu. Przegadali całą noc, a chociaż rankiem nie wyczerpali tematów do rozmowy, Taparica zdołał go przekonać, że nie ma się czego bać.

Tragarze unieśli hamak, a kładąc się, Francisco Manoel powiedział do swego gospodarza:

– Zobaczysz. Pewnego dnia skończę jako jego niewolnik.

Do Abomeyu wjechali przez Zachodnią Bramę odkrytym lando, zaprzężonym nie w konie, a w ludzi. Oddano salwę z dwudziestu jeden strzelb. Parasole łamały się w tłoku.

Nowy król wstał z uśmiechem na powitanie, odziany w szarą jedwabną togę ze srebrnymi półksiężycami; na jego szyi wisiał niebieski szklany koralik. Król sprawiał wrażenie wyższego i stąpał teraz tak, jakby zaszczycił ziemię swymi krokami. Zaprowadził przybyszów do krzesel, podziękował Taparice za „złowienie grubej ryby”, po czym, bez uprzedzenia, nadał Francisco Manoelowi insygnia dahomejskiego wodza.

Tłum zawołał głośniejsze:

– *Viva o amigo do Rey.*

O zachodzie słońca król zaprowadził ich do twierdzy, gdzie ujrzeli zdetronizowanego władcę, który zataczał się po dziedzińcu i splotował flegmą w kurz.

Król powiedział:

Hiena wyje,

A słoń idzie dalej.

Od tej pory Dahomejczycy nazywali Francisco Manoela Słoniem Adjinakou.

W ciągu roku został wicekrólem Ouidah i przekształcił Dahomej w najskuteczniejszą maszynę wojenną w zachodniej Afryce.

Kiedy przebywał na wybrzeżu, zachowywał się jak brazylijski pan. Od Zielonego Przylądka po rzekę Bonny wędrowcy wszelkiej maści ciągnęli, by posilić się przy jego stole i sprawdzić zapasy piwnicy. Chociaż tytuł „Dom” był zazwyczaj zarezerwowany dla członków portugalskiej rodziny królewskiej, wszyscy zwracali się do niego „Dom Francisco”.

Nadał Ouidah atmosferę cywilizowanego miasta dzięki temu, że kazał wybudować kanalizację i przeprowadzić ulice przez labirynt zaraźliwych zaułków. Posadził palmy oleiste i kokosowe, sprowadził ananasy. Na równinach rosły morza kukurydzy i manioku, a wzdłuż laguny ciągnęły się poletka ryżowe.

Ponieważ Francisco Manoel zakazał stosowania chłosty na swoich plantacjach, pracownicy go wielbili. W drodze na pola przechodzili rzędem pod jego oknem i skandowali litanie:

Słoń zarzuca sieć
Na ląd i na morze.
Kupuje matki, ojców, synów,
A hiena wyje nadaremno.
Przyjaciele ciągną do zapachów jego kuchni,
Tańczą małpy odurzone winem palmowym.
On jest Dobrą Gąbką, która obmywa nas do czysta,
Utwardza swoje ściany ogniem,
Daje nam perły, gdy my mu dajemy komara.
W jeden dzień sprzedał wszystkich niewolników z Ouidah
Jego studnia nigdy nie wyschnie.

Żaden kapitan nie był w stanie przechytrzyć czujności jego straży nabrzeżnej. Nikt nie mógł załadować na statek niewolnika, nie zapłaciwszy podatku eksportowego; nikt nie mógł załadować beli bawełny, nie zapłaciwszy mu należności. Wystawiane przez Francisca Manoela skrypty dłużne honorowali bankierzy w Nowym Jorku i Marsylii. Sam lub do spółki kazał wybudować w stoczni w Baltimore flotę kliperów.

Te nowe statki miały przechytrzyć pościgowce brytyjskiej marynarki. Miały wysokie, przechylone ku rufie maszty, gładkie czarne kadłuby i nosiły nazwy ptaków morskich: „Fregata”, „Albatroz”, „Gaiwota”, „Alcatraz” czy „Andorinha-do-Mar”.

Klipery pływały jednak pod ostrym kątem: nawet na umiarkowanie wzburzonemu morzu załoga musiała zabezpieczać luki i zamykać kratownice. Temperatura w ładowni rosła, a niewolnicy marli z gorąca, biegunki i braku powietrza.

Jak każdy szanujący się handlarz niewolnikami, winą za niepowodzenia Francisco Manoel obarczał Anglików.

Każdego roku wraz z nadejściem pory suchej zrzucał zwyczaje cywilizacji i wyruszał na wojnę.

Za pierwszy cel wyznaczył sobie zreformowanie dahomejskiej armii. On i król pozbyli się ludzi otyłych, panikarzy, pijaków. Ponieważ dahomejskie kobiety były znacznie waleczniejsze od mężczyzn i dwa razy szybciej ładowały muszkiety, po wioskach prowadzono nabór najbardziej umięśnionych dziewcząt.

Rekrutki były znane jako „lamparcie żony króla”.

Jadły surowe mięso, goliły głowy i piłowały zęby na ostre szpileczki. Nauczyły się strzelać z ramienia zamiast z biodra i nigdy nie wypalały do szemrzących liści. Podczas ćwiczeń musiały się wspinać na ostrokoły z ciernistych gałęzi, a wracając, pohukiwały:

– Hu! Hu! Jesteśmy mężczyznami!

Ponieważ musiały zachować celibat, pozwalano im sycić żądzę z oddziałem prostytutek.

Dom Francisco upierał się, by dzielić wszystkie trudy marszu.

Przeprowadzał się przez rozżarzone sawanny, przepływał rzeki pełne krokodyli. Przed atakiem na wioskę przytwierdzał liście do kapelusza i leżał bez ruchu, dopóki nie zapiały koguty. O świcie, kiedy dachy domów wyłaniały się z mroku jak zęby piły, rozlegał się gwizdek, w powietrzu rozbrzmiewały krzyki, a po wszystkim amazonki paradowały przed królem, wymachując odciętymi głowami jak hantlami.

Dom Francisco witał każde nowe okrucieństwo szklistym uśmiechem. Nie czuł cienia litości dla matki błagającej o życie dziecka ani dla starca wpatrującego się z niedowierzaniem w purpurową mgiełkę nad dymiącymi zgliszczami.

Całymi latami trwał w kierowanym przez siebie koszmarze. Pewnego dnia, przed splądrowaniem Sokologbo, krył się za skałą, kiedy na ścieżkę wybiegła grupa chłopców, próbujących odpędzić kołatkami gołębie z pól prosa. Francisco Manoel nigdy nie miał zapomnieć krzyków chłopców duszonych przez amazonki, które wyskoczyły na nich z krzaków.

Przez całe przedpołudnie, kiedy Dahomejczycy wykonywali swoją pracę, Francisco Manoel siedział z twarzą w dłoniach i szeptał:

– Nie. Tylko nie dzieci! – Nigdy więcej nie wyruszył na wojnę.

Za to król został straszliwszym wojownikiem niż którykolwiek z jego przodków.

W 1818 roku podbił Groto, w 1820 Lozogohé, a w 1825 Lemón. Zabił Atobé z plemienia Mahi, Adafé z plemienia Napou i Achadé z Léfou-Léfou. Ludziom z plemienia Atakpamé kazał jeść mięso ojców. Poprzysiągł zdobycie twierdzy Abeokuta plemienia Egba, natomiast Alafinom z Oyo polecił „jeść jaja papug”.

Nie był okrutny. Jego też mdlił widok krwi i odwracał wzrok od egzekucji. Pragnął zakończyć cykl wojen i zemsty, ale nigdy nie mógł się oprzeć pokusie zdobycia nowych czaszek.

Czaszki wrogów utwierdzały króla w przekonaniu, że żyje w realnym świecie. Pił z czaszek, spluwał do czaszek. Na czaszkach wspierał się tron, z czaszek było jego łóżko i droga prowadząca do sypialni. Król znał imię każdej czaszki w swoim Domu Czaszek i prowadził z nimi kolejno wyimaginowane rozmowy. Pomniejsi wrogowie leżeli na miedzianych tacach, ale wielkich, owiniętych w jedwab, przechowywano w pobielonych koszach.

Nie oznacza to, że gdyby zechciał, mógłby ocalić życie wielu ofiarom. Dowódcy tylko czekali na pierwszą oznakę słabości, a grupa kapłanów stale doradzała królowi, których jeńców powinien wysłać do Krainy Zmarłych, a których do Ameryki.

Dom Francisco wynajdywał sposoby, by ocalić jeńców przed nożem. Stwierdził, że najlepsze efekty przynosi odwracanie uwagi wielmożów nowinkami z Europy.

Pewnego roku, kiedy pałacowi architekci planowali mozaikę z czaszek, Dom Francisco zaproponował, żeby zamiast czaszek użyć porcelanowych talerzy. Początkowo król był zachwycony pomysłem „potłuczenia” tak cennych przedmiotów i rzucił stertę talerzy na ziemię. Po chwili jednak, jak gdyby usłyszawszy ryk przodków, zmarszczył brwi, a oślepiłe oko wyssało światło ze zdrowego.

– Wojna służy do ścinania głów, nie do sprzedawania ich razem z ciałami – warknął.

Obydwaj przyjaciele stopniowo utracili sztukę porozumiewania się; potrafili tylko wymieniać się prezentami. Ale tak jak podarki Dom Francisca zazwyczaj radowały króla, ten ostatni nie miał do zaofiarowania nic prócz kobiet. Zgodnie z własnym rozumieniem przyjaźni, król rozmieszczał w forcie Ouidah szpiegów, którzy donosili mu, czy wszystkie ofiarowane kobiety były wykorzystane. Panią haremu pozostawała Jijibou.

Zahartowana dramatycznymi kolejami losu, wyrosła na kobietę o masywnej szczęce, była zgrabna niczym koń i miała atlasowo połyskującą skórę. Otulona w pomarańczową tkaninę, całymi dniami przesiadywała w cieniu chaty i nigdy nie widziano, żeby się uśmiechała.

Jej ojciec, szef wioślarzy, zmarł. Utonął, kiedy jego łódź się wywróciła, a chociaż Jijibou podejrzewała męża, że sprzedał jej ojca na statek niewolniczy, nie pozwoliła, by podejrzenia zakłócały jej domowe obowiązki.

Sprawdzała, czy dziewczyny są dziewicami, rozpędzała ich lęki i prowadziła do sypialni. Każde nowe niemowlę przynosiła Franciscowi Manoelowi, ale płacz przypominał mu tylko o jego brazylijskim dziecku, a kiedy maleńkie paluszki ciągnęły go za brodę, zgrzytał zębami, zatykał uszy i pospiesznie odchodził.

Pragnąc przestrzegać zaleceń Kościoła, upierał się przy chrzcie i zmuszał Jijibou, by udawała prawdziwą matkę. Kiedy stawała przy chrzcielnicy, usiłował odczytać jej myśli, ale napotykając wzrok męża, Jijibou mrużyła oczy i opuszczała kąciki ust.

W 1835 roku rodzina Francisca Manoela przestała się mieścić w forcie. Rozpoczęto więc

prace nad posiadłością, której nie pozwolono mu wybudować w Brazylii.

Posiadłość Simbodji, co w języku fon znaczy „duży dom”, leżała wystawiona na wiatr znad Atlantyku na łagodnym zboczu między Królewskim Baobabem a Drzewem Kapitanów.

Dom, który wyłonił się z poczwarki rusztowań z pni palmowych, stanowił replikę Tapuitapery, tyle tylko, że wobec braku murowanych fundamentów budowanie drugiej kondygnacji okazało się niebezpieczne. Jednak różowe ściany były identyczne, podobnie jak odwrócone do góry krokwie, błękitna jadalnia i pomalowane na zielono okna z kwadratowymi szybami.

Służący nigdy wcześniej nie widzieli szyb w oknach, a teraz, ujrawszy odbicie zachodzącego słońca, pomyśleli, że okna się palą, i oblali je wodą.

Dom Francisco sprowadził kanapy z palisandru, komplet opalowych przyborów toaletowych, szwajcarskie pozytywki i łóże z Goi. Pianino dostarczono z Niemiec. Stół bilardowy przypłynął na tratwie z trzech związanych łodzi wiosłowych.

W wysokich, chłodnych pokojach Dom Francisca smugi słońca sączyły się przez żaluzje. Weranda wychodziła na ogród pełen kwiatów pachnących nocą, a przez mur wiodła ścieżka do seraju.

Naprzeciwko łóżka Dom Francisco powiesił panoramę Bahii, ale jej widok wzbudzał w nim tęsknotę za domem, więc zastąpił ją grawiurą przedstawiającą chłopca-cesarza Dom Pedra II. Na biurku piętrzyły się sterty starych brazylijskich gazet. Dom Francisco usiłował zgłębić politykę nowego cesarstwa. Imiona nic mu nie mówiły. W końcu zrezygnował i ograniczył się do lektury reklam.

Pewnej nocy, w przebłysku natchnienia, napisał do Joaquina Coutinho z pytaniem, czy zakonnice z Soledade mogłyby wykonać replikę kapliczki z Ostatnią Wieczerzą.

Joaquim poczuł wielką ulgę, kiedy oszczędzone mu zostało zażenowanie związane z powrotem współnika. Niezwłocznie wysłał skrzynię z listem:

„Moja małżonka i ja z przyjemnością posyłamy oryginał, do którego dołączam błogosławieństwo dla chrześcijańskiej społeczności Ouidah...”.

Portret Dom Francisca w wieku pięćdziesięciu lat przedstawiałby człowieka, na którym klimat wywarł dziwnie słabe piętno. Na prawej skroni widniała blizna. Przez środek czoła biegła głęboka bruzda. Jednak skóra, choć żółtawa, była wolna od zmarszczek. Czarne włosy i broda lśniły; poruszał się z młodzieńczą lekkością.

Zupełnie nie dbał o strój. W ciągu dnia nosił szary perkalowy garnitur plantatora, stare buty z wysoką cholewą i podziurawiony kapelusz bez paska. Gościom zaproszonym na kolację kazał zakładać świeżo wyprasowane białe ubranie tylko po to, by obrażać ich paradowaniem w brudnej podomce z drukowanej bawełny i pantalonach opadających na mauretańskie pantofle.

Nie znaczy to, że nie miał co na siebie włożyć. W sypialni stała ozdobiona chińskimi

pejzażami szafa z garderobą od londyńskich i paryskich krawców na przyjęcia, w których nigdy nie miał uczestniczyć. Czasami w nocy, za zamkniętymi drzwiami, ubierał się na wieczorowo i wyciągał dłoń w białej rękawiczce do wysokiego lustra obrotowego, które łuszczyło się znacznie szybciej niż jego twarz. Potem, kiedy mole i rybiki wzięły się do dzieła, kazał Taparice spalić całą garderobę i posłał nowe zamówienie do swego agenta.

Nie nosił zegarka. Czas poznawał po położeniu słońca i gwiazdozbiorów. Nawet w pochmurną noc potrafił spojrzeć w mrok i powiedzieć:

– Do świtu zostały trzy godziny.

W skórzanej szkatułce pod łóżkiem trzymał kolekcję zegarków: złotych zegarków na łańcuszku, zegarków ze wskazówkami z kryształu górskiego albo ozdobionych scenami z tureckiego haremu. Do jego ulubionych należały szwajcarskie zegary z kukułką. Kiedy kobiety Dom Francisca słyszały ptaszki ćwierkające pod materacem, myślały, że to śpiewają duchy.

Przed udaniem się na spoczynek nakręcał zegarki, każdy ustawiając na inną godzinę, tak bardzo był opętany upływem czasu.

Zdarzało się też, że w nocy wyjmował pierścienie i wsuwał na palce, aż całe dłonie sztywniały w szalonym szmaragdowym blasku.

Potem wpatrywał się posępnie w swoje dłonie i wołał:

– Taparica! Mydło i woda! – Następnie kładł się w koszuli nocnej, czekając, aż zaskrzypią deski werandy; w niedobre noce jedyną pociechą było deflorowanie dziewczyc.

Synowie Da Silvy mieli prawo bawić się nago do siódmego roku życia. Potem ojciec ubierał ich na białe, kładł do snu w dormitorium i posyłał do księdza na naukę czytania.

Pełni życia chłopcy uczyli się łatwo. Poznawali katechizm i wiersze Camõesa, ale zazwyczaj wracali z lekcji z oszołomionym wyrazem twarzy.

Dwadzieścia lat pracy misyjnej w Angoli nadały ojcu de Lessa wygląd ptaka drapieżnego i napełniły go biblijnymi przekonaniem w kwestii czarnych. Lekcje z Pisma Świętego miał zwyczaj prowadzić w formie pytań retorycznych:

– Czyż Etiopczyk może zmienić skórę? – wołał. – Czyż lampart może zmienić cętki?

Czyż czerń nie była kolorem nocy? Albo diabła? Czy czarna skóra nie była znamieniem Kaina?

Domyśliwszy się, w czym tkwi problem, Dom Francisco usiadł pewnego ranka pod klasą i przysłuchiwał się tyradzie ojczulka. W pewnej chwili wsunął głowę przez okno i powiedział:

– Ale czarni wierzą, że diabeł jest biały.

Jego najstarszy syn Isidoro został wysłany do Bahii, gdzie miał ukończyć naukę razem z synami Coutinho. Rodzina współnika Dom Francisca mieszkała teraz w dużej białej

posiadłości na skałach nad zatoką. Jednak nieokrzesany charakter Isidora – a także afrykańskie przyzwyczajenia toaletowe – tak dały się we znaki paniom domu, że jego preceptor wysłał chłopca do ponurego seminarium w górach.

Tam, w klasach przesiąkniętych kadzidlana wonią, odziany w białą sutannę z czerwonym krzyżem, nauczył się dokonywać rozbioru łacińskich zdań. Na wakacje przyjeżdżał z zapadniętymi oczami, sflaczały. Napady kaszlu chłopca przypomniały ojcom o gruźlicy, toteż w końcu odesłali go na dobre.

Po powrocie do Bahii Isidoro szybko odzyskał humor w barach i burdelach Pelourinho.

„Postanowiłem – pisał Joaquim Coutinho do współnika – przymknąć oczy na nieprzyzwoite zachowanie Twojego syna, ponieważ jedynym sposobem na opanowanie go byłoby przekazanie chłopaka w ręce władz, a tego, jako jego opiekun, chciałbym uniknąć”.

Kiedy jednak młody Mulat wtoczył się do domu zboczony krwią, w ubraniu podartym na strzępy, wyrzucono go i musiał zamieszkać u pośrednika w handlu niewolnikami w Dolnym Mieście.

Joaquim Coutinho wykorzystał zachowanie Isidora jako wymówkę, by zerwać współpracę; w 1838 roku handel niewolnikami przestał być zajęciem godnym brazylijskiego dżentelmena.

Proceder ten od dziesięciu lat uznawano za przestępstwo. Mimo iż handlowano nadal bez żadnych konsekwencji, chociaż plantatorzy kawy z południa głośno domagali się niewolników, handel przeszedł w ręce portugalskich nuworyszy, których metody nie przysparzały im popularności.

Brazylijscy liberałowie nienawidzili niewolnictwa z pobudek moralnych, natomiast konserwatyści odnosili się wobec niego nieufnie z przyczyn praktycznych: w Brazylii było stanowczo za dużo czarnych.

W roku 1835 powstanie niewolników o mały włos nie opanowało miasta Bahia. Jak się okazało, powstanie zorganizowała klika muzułmańskich fanatyków, którzy przeniknęli do czarnych bractw chrześcijańskich i wypowiedzieli świętą wojnę. W modnym towarzystwie nazwisko Toussaint-Louverture’a było na ustach wszystkich, natomiast cesarscy ministrowie faworyzowali niemieckich imigrantów kosztem Afrykanów.

Oprócz statków Joaquim Coutinho posiadał rancza, kopalnię diamentów, bank, nieruchomości w mieście; rozważał też możliwość budowy linii kolejowej. Poza tym postanowił zdobyć tytuł szlachecki, żył w ciągłym strachu przed kompromitacją i był szczególnie przeczulony na punkcie swego przezwiska „Stare Mięso”.

Podczas wizyty w Rio Joaquim przekupił cesarskich szambelanów. Następnie pozrywał dawne kontakty handlowe i sprzedał flotę. Kazał wybudować dwa kościoły w stylu gotyckim;łożył na żeński klasztor, zamówił wszystkie możliwe prenumeraty, aż wreszcie dopiął swego.

Pewnego wieczoru w Simbodji, wertując najświeższy numer „Jornal do Rio Janeiro”, Dom Francisco przeczytał, że znany finansista i filantrop z Bahii otrzymał tytuł barona Paraíby. Rysunek przedstawiał mężczyznę z brodą przystrzyżoną w klin, w białego we frak, ze złotymi łańcuchami opinającymi brzuch i Orderem Świętego Bonifacego na szyi.

– To nie jest chłopak, którego znałem – stwierdził Dom Francisco.

Postanowił zaryzykować list gratulacyjny, ale odpowiedź nadeszła dopiero po pięciu miesiącach. W lakonicznym liściku Joaquim ubolewał nad tym, że publiczne i prywatne obowiązki nie pozwalają mu już na zajmowanie się afrykańskim handlem.

Nowy baron Paraíby miał dość przyzwoitości – albo wycucia własnych korzyści – by znaleźć w Bahii agenta dla dawnego kolegi.

José de Paraízo był Portugalczykiem, który na wygnaniu opanował sztukę stawania się osobą niezastąpioną. Zaczął od wyratowania Isidora da Silvy z rysztoła. Kupił mu nowe ubranie i kazał pozować do portretu. Następnie wysłał chłopca do Marsylii, żeby terminował w przedsiębiorstwie transportowym.

José de Paraízo odznaczył się też nadzwyczajną pomysłowością w wynajdywaniu rozrywek dla króla Dahomeju. W tej samej przesyłce, do której dołączył portret, do Afryki popłynęły polerowane kotły perkusyjne, arka Noego oraz katarynka wygrywająca psalmy. Następnie kupił kostiumy wyprzedawane przez operę w Rio i przez jeden sezon dworzanie w Abomeju przypominali postaci z *Semiramidy* Rossiniego.

Innym razem, być może dla żartu, José przysłał obraz Judyty i Holofernesa, ale Dom Francisco go zatrzymał.

„Ci ludzie – napisał – mają bardzo słabe poczucie humoru. Obraz mógłby nie rozbawić króla”.

Nie sposób było stwierdzić, czy jakiś prezent podoba się królowi, ponieważ monarcha tylko marszczył czoło i unosił brew, jakby pytał: „A co zatrzymałeś tym razem?”

Wszystkie służące w Simbodji były królewskimi agentkami; król jako pierwszy miał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w domu. Kiedy więc Dom Francisco kupił sobie srebrnego łabędzia, który połykał ryby w takt muzyki Belliniego, łabędź zniknął pewnej nocy, a następnie został odesłany z Abomeju z odciętą szyją, przekreślonym mechanizmem i ostrzeżeniem, by nigdy więcej nie przysyłać nic zepsutego.

Króla zupełnie nie interesowało złoto. Złoto było walutą jego wroga, króla Aszantów, natomiast w Dahomeju używano muszli porcelanek, których nie można było ani podrobić, ani sfalszować mieszankami.

Jednak Kubańczycy i Jankesi, którzy przyplływali do Ouidah kupować niewolników, zawsze woleli płacić złotem: sztabami, dublonami, luidorami, napoleonami, suverenami, a niekiedy monetami Wielkiego Mogła. Dom Francisco przechowywał swoje bogactwo w

beczkach zakopanych pod łóżkiem. Ogromnie się zaniepokoił, kiedy król kazał dostarczyć jedną z takich beczek do Abomeyu.

Król obejrzał monety jedną po drugiej, pozwolił im przesypać się przez palce. Nauczył się imion Ludwika Filipa, elektora brandenburskiego, cara Pawła i młodej królowej Wiktorii. W końcu przewrócił oczami, rzucił monety na ziemię i prychnął:

– Nigdy nie pozwoliłbym, żeby ktoś zabrał sobie moją głowę. – Od tamtej pory nigdy więcej nie wspominał o złocie.

W 1842 roku, podczas pory deszczowej, ojciec de Lessa oszalał.

Wchodził do klasy nagi i umartwiał się skórzanym biczem. W ubłoconej sutannie zakradał się do Świątyni Pytona i wrzeszczał:

– Spustoszę to miasto. Rozwalę całą tę ohydę.

Pewnej niedzieli, kiedy ojciec de Lessa przygotowywał święty sakrament na mszę, dostrzegł pytona zwiniętego w swoje ubranie i zmiądzzył mu łeb krucyfiksem. Kapłani Świątyni Pytona wywlekli księdza z kaplicy, a zanim Dom Francisco zdążył go wyratować, ojciec de Lessa postradał zmysły.

Zaczęło mu się objawiać zwierzę o nazwie Zoo.

Zoo miało małpią głowę, psi tułów i lamparcie pazury; lubieżnie wyciągało się przed księdzem na drodze i ćwierkało jak ptak.

Dom Francisco postanowił odesłać nieszczęśnika do Bahii. Jednak Zoo najwyraźniej żyło też w morzu, bo kiedy przywiązywali księdza do pokładu łodzi wiosłowej, nie przestawał krzyczeć:

– Zoo! Zoo!

Mniej więcej w tym czasie z Francji wrócił Isidoro. Nosił się jak dandys i miał głowę pełną pomysłów założenia fabryki oleju palmowego. W latach czterdziestych dziewiętnastego wieku europejska klasa średnia odkryła zalety *savon blanc de Provence*.

Marsylskie przedsiębiorstwo handlowe Bineta i Poncettona wysłało człowieka, który miał zebrać informacje o plantacjach palmowych na Wybrzeżu Niewolników. Właśnie dzięki pomocy Isidora młody człowiek o wąskich wargach nazwiskiem Blaise Brue ponownie zajął stary francuski fort Saint-Louis-de-Grégoy.

Blaise Brue świetnie grał w bostona i był mile widzianym gościem na kolacjach w Simbodji. To on zasugerował, by Ouidah przekształcić we francuski protektorat.

Dom Francisco skwapliwie skorzystał z okazji zarobienia uczciwych pieniędzy na handlu olejem palmowym. Całą swoją siłę roboczą oddał do dyspozycji Francuzowi i założyli spółkę. Oczyszczili dawne gaje palmowe, zasadzili nowe. Z odległych wiosek do fortu ciągnęły kobiety z tykwami pełnymi oleju na głowach. W pierwszym sezonie na plażę stoczono cztery tysiące beczek, a na twarzy Dom Francisca znowu zauważono uśmiech.

Uśmiechał się, kiedy dojrzewające orzechy palmowe przybierały kolor rozżarzonych węgla, uśmiechał się, gdy na powierzchnię kadzi wpływała kleista żółta ciecz. Często mówił do synów:

– Pewnego dnia olej palmowy przyniesie nam bogactwo, o jakim nie śniło się największemu chciwcowi.

Jednak młodzi Mulaci żyli w zawieszeniu. Nienawidzili ojca. Nienawidzili wszelkiej pracy, a nie mogąc znaleźć ujścia dla swojej energii, stali się zgorzkniali, markotni, okradali spizarnie, pili i odkryli przyjemności noża.

Romans Dom Francisca z Francją osiągnął punkt kulminacyjny, kiedy drugi syn Ludwika Filipa, książę de Joinville, przybił do brzegu fregatą „Belle-Poule”, by dokonać inspekcji francuskiej fabryki.

Do kolacji książę kazał podać chateau margaux rocznik 1811, a wszyscy oficerowie dostali w podarunku srebrną podstawkę na wykałaczki w kształcie jeżozwierza.

Książę rozbawił towarzystwo skandalicznymi opowieściami o Anglikach, którzy przybyli na Wyspę Świętej Heleny po ciało Napoleona. Rozprowiał o trudnościach chłodzenia szampana w tropikach oraz o pochodzeniu powiedzenia „*Perfide Albion*”. Następnie naszkicował ołówkiem portret gospodarza – podstawę wszystkich przyszłych podobizn – po czym udał się na spoczynek w sprowadzonym z Goi łożu z baldachimem.

Nazajutrz, kiedy książę zbierał się do wyjazdu, synowie Da Silvy zawołali:

– *Vivas!*

Dziewczęta udekorowały Francuza girlandami z kwiatów uroczynu, a Dom Francisco, ofiarowując gościowi pudełko najlepszych kubańskich cygar, poprosił o wstawiennictwo u szwagra księcia, brazylijskiego cesarza Dom Pedra.

– O wszystkim mu opowiem – obiecał książę.

Dom Francisco doznał szoku, gdy marsylskie przedsiębiorstwo nakazało Blaise’owi Brue zerwać współpracę z okrytym niesławą handlarzem niewolników.

– Przykro mi, mój stary – oznajmił mu Francuz.

Zdesperowany Dom Francisco zwrócił się do Brytyjczyków z nadzieją, że jeśli im pomoże, oni odwzajemnią się tym samym.

Kiedy barkas z Bristolu przybił do brzegu cztery mile na południe, pod Jacquin, Dom Francisco oczyścił plażę z rabusiów i pomógł załodze przenieść ładunek na ląd. Pospieszył na pomoc metodystom, którzy ugrzęźli w Lagos, zaopiekował się też panią McCalvert po tym, jak jej mąż strzelił sobie w łeb. Podjął nawet Anglików, którzy przybyli z projektem traktatu lorda Palmerstona, znoszącego niewolnictwo.

Pierwszym „Anglikiem”, który złożył wizytę królowi, był duchowny z Freetown, wielebny Tommy Crowder. Zmuszony do oglądania dorocznych ofiar, wrócił śmiertelnie

przerażony. Zdołał jednak wykrztusić pozdrowienia od Wielkiej Białej Królowej.

W odpowiedzi, którą duchowny spróbował spisać po angielsku, król zapytywał o zdrowie królowej, a także o zdrowie „jego córek, jego synów, jego matki i jego babki”. Król przyznawał też, że sprzedawanie niewolników było „ZŁE”; że Brazylijczycy to „ŻLI LUDZIE, CO CHCĄ TYLKO NIEWOLNIK ZA PIENIĄDZE”; że „ten królowa” powinien przysłać człowieka z „Dużą Głową, żeby przysłuchiwał się mowom króla i spisał księgę mów, tak jak król Dahomej u wkrótce pośle do królowej swojego wysłannika”.

Człowiek z „Dużą Głową”, kapitan William Munro, przybył sześć miesięcy później w mundurze Pierwszego Oddziału Straży Przybocznej. Miał rude włosy, szczere błękitne oczy, kępkę rudych włosów na nosie, a w rozmowie posługiwał się popularnymi sformułowaniami literatury abolicjonistycznej. W prezencie przywiózł królowi parę pawi i kołowrotek od matki ze Szkocji.

Podczas kolacji usiłował przekonać Dom Francisca, że ziemia w Dahomeju doskonale nadaje się do uprawy bawełny.

– Tak, tak – odparł gospodarz. – To wszystko nadejdzie. To nadejdzie. Wybudujecie im linie kolejowe i bardzo ich uszczęśliwicie. Może nawet powstrzymacie ich od zabijania się. Wszystko to zajmie jednak wiele czasu, a ja jestem zbyt stary i zmęczony, żeby tym się zająć. Mogę tylko, mój drogi młody przyjacielu, ugościć cię w moich skromnych progach.

Kiedy poselstwo wyruszało do Abomeyu, Dom Francisco zaniemógł, złożony atakiem reumatyzmu. Przywoławszy kapitana do siebie, chwycił go za rękę i wyszeptał:

– Proszę cię, wstaw się za mną u króla.

Nikt później nie potrafił stwierdzić, czy winę ponosił tłumacz, czy naiwność Munro, czy może królewska chęć przypodobania się. Dość, że brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych odniosło wrażenie, że król jest „sprawiedliwym, humanitarnym człowiekiem”, który pragnął pozbyć się tego „odrażającego Da Silvy” i zająć się pokojowym rolnictwem.

Królowi objawiła się miła wizja dorocznej subwencji wysokości trzech tysięcy funtów od jego Białej Siostry, co pozwoliłoby mu prowadzić wojnę i ścinać tyle głów, ile by zapragnął, bez konieczności zajmowania się kłopotliwą sprzedażą jeńców.

W liście do królowej Wiktorii król obiecał wygnać z Ouidah wszystkich handlarzy niewolników, a ponieważ serce królowej było „DUŻĄ TYKWA, pełną wina palmowego dla spragnionych”, król niezwłocznie potrzebował dużego namiotu i złotego powozu.

Do Dahomej u przybyło jeszcze trzech posłów, każdy bardziej porywczy niż poprzednik, a w starym forcie brytyjskim w Ouidah otwarto siedzibę wicekonsula.

Król obiecywał to i owo, ale nigdy nie postawił krzyżyka pod traktatem. Z Anglii nie przysłano namiotu ani złotego powozu. Zamiast tego konsul Crosby dostarczył królowi zbroję, gutaperkowe maski Puncta i Judy oraz egzemplarz „Illustrated London News” z artykułem o Wielkiej Wystawie.

Zszokowany tak marnymi prezentami, król spytał Dom Francisca, co można kupić za trzy

tysiące funtów.

– Ta kwota mogłaby pokryć tygodniowe wydatki domowe waszej wysokości.

Wicekonsul trzymał się prosto, miał zgorzkniały wyraz twarzy i policzki jak napompowane tłuszczem. Dom Francisco zapałał do niego dozgonną nienawiścią, kiedy Anglik, wskazując na Taparicę, powiedział:

– Widzę, że trzyma pan tresowaną małpę.

Na rozkaz lorda Palmerstona wicekonsul domagał się, by Dahomej odstąpił od zamiaru napaści na Abeokutę, gdzie przebywali anglikańscy misjonarze. Jednak król obiecał swoim przodkom, że obróci Abeokutę w stertę popiołu, więc Anglikom nie obiecał niczego.

Podczas ostatniej audiencji Crosby popełnił błąd, wygłaszając mowę o szkodliwości wojny, na co król wy dobył oprawioną rycinę przedstawiającą bitwę pod Waterloo i zapytał:

– Czyjej wojny, panie konsulu? Czyjej wojny?

W odpowiedzi Crosby sprezentował królowi lokalną motykę, okraszając ją zaleceniem „pożytecznej pracy”. Król wpadł we wściekłość, cisnął wicekonsulowi w twarz naszyjnik ze skrzydeł nietoperza i wrzasnął:

– Zawieź to tej starej kobiecie!

Wicekonsul Crosby zerwał rozmowy i zamknął konsulat.

Król wyruszył na wojnę.

Misjonarze z Abeokuty, panowie Bickersteth i Smith, udzielili wojownikom z plemienia Egba lekcji musztry, dostarczyli też amunicję. Trzeciego marca 1851 roku pod Świętą Skalą poległo pięć tysięcy Dahomejczyków. Była to ich największa klęska w historii.

Okręty Eskadry Zachodnioafrykańskiej zablokowały port Ouidah, a królewscy ministrowie obwiniali Dom Francisca za wpuszczenie Anglików do kraju.

Jeszcze większe problemy mieli sprawić „Brazylijczycy”.

Pierwszymi „Brazylijczycami” w Ouidah byli dawni niewolnicy, którzy wykupili sobie wolność i wrócili do Afryki wynajętym angielskim statkiem handlowym. Przybili do brzegu w pobliżu Lagos z nadzieją, że ruszą na północ do swych dawnych siedzib w Oyo. Jednak cuchnące bagna w niczym nie przypominały rajy z babcinych opowieści. Wieśniacy obrzucali przybyszów kamieniami i szczuli psami. Prześladowanych ogarnął strach, że znowu zostaną sprzedani. Tęsknili za Brazylią, ale mieli paszporty tylko w jedną stronę, które nie pozwalały im na ruszenie się z miejsca.

Dowiedziawszy się o ich losie, Dom Francisco przysłał kuter i zaofiarował schronienie.

Z mężczyznami w cylindrach i kobietami w białych krynolinach, z wyprostowanymi żelazkami włosami, spotkał się na plaży. Oddał im do dyspozycji działki i wkrótce wesołe gospodarstwa rozciągnęły się aż do Savi.

„Brazylijczycy” zamienili Ouidah w Małą Brazylię. Urządzali pikniki, wydawali kolacje. W doniczkach sadzili szarłat. Pokoje ozdabiali obrazami ze świętym Jerzym i smokiem, a w

karnawale obrzucali się woskowanymi pomarańczami wypełnionymi perfumowaną wodą.

Całe miasto zmieniło barwę. Kolory brazylijskiego ogrodu zastąpiły monotony róż i ochrę na domach, a kobiety opierające się na parapetach zachowywały się tak, jakby domy stanowiły przedłużenie ich stroju.

W upalne dni wylegiwały się na balkonach, wachlowały się albo drapały po plecach drapakami z kości słoniowej. Niekiedy pod domami przeciągała kawalkada skutych łańcuchami jeńców, wokół których uganiała się sfora psów. „Brazylijczycy” rzucali wtedy na ulicę kwiaty, wołali „*Boa Viagem!*” i wzdychali za wspnianymi domami w Bahii i Pernambuco.

Każdej soboty Dom Francisco wydawał kolację dla przywódców kolonii. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Simbodji jest ponure, staroświeckie i wulgarne.

Ponieważ przybysze byli wrażliwi na punkcie zdrowia, w Ouidah po raz pierwszy pojawił się lekarz.

Doktor Marcos Brandão Ferraez, udęczony młody Mulat, posiwiaty w wieku trzydziestu lat, robił obchody z zieloną torbą podróżną. W Brazylii uciekł z dziewczyną z sertão z małego miasteczka w stanie Ceará; kiedy jej bracia zagrozili, że go zabiją, postanowili wyjechać do Afryki.

Bezdzienna para mieszkała w dwóch schludnych pokojach nad apteką, gdzie postawili gipsowe popiersie Hipokratesa oraz rzędy niebieskich ceramicznych pojemników na lekarstwa, opatrzonych łacińskimi nazwami. Mieli też arę żółtoskrzydłą imieniem Zé Piranha.

Dona Luciana utrzymywała kuchnię w nieskazitelnej czystości. Nikt nie umiał robić lepszej konfitury z guajawy i nadziewanych krabów. Ubijając w móżdżerzu przyprawy, śpiewała, uroczo unosząc górną wargę. Wszystko to jednak były smutne piosenki. Śpiewała je jako dziewczynka, kiedy marzyła o wyrwaniu się z prowincji, za którą teraz tęskniła.

Z czasem jakby uschła od upału. Włosy zwisały w mysich kosmykach, twarz pokryła wysypka. Bała się wychodzić z domu, skorpiony brała za węże; siedziała tylko, żałośnie gładząc krucyfiks i czekając na powrót męża.

Pewnego dnia, kiedy Dom Francisco wracał do domu z Taparicą, nagle stanął jak wryty. Z okna apteki dobiegały wyraźne, powolne słowa piosenki, które rozwiązały supły jego pamięci. Jego matka śpiewała tę piosenkę o Cygance wędrującej z targu na targ, a kiedy Dona Luciana doszła do ostatniej zwrotki, zaśpiewał z nią dwie końcowe linijki.

Dona Luciana zamarła.

Dom Francisco zajrzał do domu.

Kobieta zerknęła pod rondo jego kapelusza, zobaczyła oczy, a później przysięgała, że widziała diabła.

Dom Francisco mógł za to zawsze wpaść na szklaneczkę likieru z limonek do Mulata

Jacinto das Chagasa, w połowie krwi Joruby, który dawniej pracował jako urzędnik na plantacji trzciny cukrowej i miał uroczą córkę imieniem Venossa.

Spokojny uśmiech Jacinta, jego dżentelmeńskie maniery i czyste płócienne garnitury wywarły trwałe wrażenie na Dahomejczykach. Lata uległości nauczyły go pozyskiwać zaufanie innych lub grać na ich poczuciu winy. Ilekroć mówił o handlu niewolnikami, kładł długie, kościste palce na sercu i wzdychał:

– Moi bracia! Moi biedni czarni bracia!

Ze względu na wiarygodność Jacinta i jego głowę do liczb Dom Francisco zaangażował go w charakterze pomocnika. Powierzał mu tajemnice handlowe, jakich nie wyjawiłby nawet rodzonym synom. Posyłał go nawet z poufnymi misjami do króla.

Początkowo pomysł, by czarni chodzili w butach, doprowadzał króla do wściekłości, kiedy jednak Jacinto opowiedział mu o ślubach „Brazylijczyków” w kaplicy, monarcha uznał, że on też potrzebuje chrześcijańskiej narzeczonej. Decyzja Jacinta, by poświęcić własną córkę, oburzyła całą kolonię.

W pewien deszczowy poranek, z twarzą zakrytą welonem, żeby nikt nie widział jej łez, wbijając paznokcie w portmonetkę z niebieskiego atlasu, Venossa das Chagas załkała:

– Tak.

Potem przeszła przez kościół, wsparta na ramieniu ubranego we frak Dom Francisca, który występował w zastępstwie swego brata krwi.

Amazońska armia honorowa odeskortowała pannę młodą do Abomeyu, gdzie czterdzieści dziewięć lat później pewien francuski oficer znalazł ją, zgiętą w modlitwie przed krzyżem.

To ona doprowadziła rodzinę Da Silvów do ruiny.

W miesiąc po ślubie ojciec panny młodej pokłócił się z pracodawcą, skumał się z Francuzami i zaczął eksportować olej palmowy na własną rękę. Król dał mu ziemię i niewolników. Jacinto zbudował dom z białymi kolumnami i wypełnił go meblami z Paryża. Wkrótce, pod płaszczykiem handlu olejem palmowym, zaczął sprzedawać niewolników pośrednikom ze Stanów Zjednoczonych.

Na wieść o tym, że złamano jego monopol, Dom Francisco myślał, że zwariuje. Wpadł do rodziny Das Chagasów podczas lunchu i zapytał szyderczo:

– I gdzie są teraz twoi czarni bracia?

– To byli ludzie z plemienia Mahi, nie moi bracia – odparł Jacinto.

Dom Francisco zaczął się domagać wygnania rywala, ale Jacinto zdołał uzmysłwić królowi prawdziwą wartość złota. Dał mu też do zrozumienia, że połowa majątku Da Silvów już znajduje się w Brazylii, co było najcięższym przestępstwem w kraju, gdzie wszystko należało do króla.

Królewscy poborcy podatkowi bez uprzedzenia wtargnęli do Simbodji i zabrali całe złoto i srebro. Miesiąc później fregata parowa Eskadry Zachodnioafrykańskiej dokonała abordażu

na ostatni klipser z Baltimore; stało się jasne, że Jacinto dał cynk Brytyjczykom.

– Wielkie Drzewo upada – mówiły kobiety z Simbodji, ponieważ pan nagle się postarzał.

Taparica umierał.

Głowa opadała mu na piersi. Skóra pomarszczyła się, miał czerwone sińce pod oczami. Bywały dni, kiedy staruszek rozglądał się wokół siebie jak zagubione dziecko; nie wiedział, gdzie jest. Gdy zbliżał się kres, Dom Francisco nie pozwolił mu umrzeć na macie. Położył Taparicę na łożu z Goi i przez trzy duszne noce trzymał go za wyschniętą rękę.

– Ty nie znać tych ludzi – chrząkał głos zza zasłony. – Nigdy ich nie poznasz.

Taparica próbował przekazać swemu panu wiedzę o rozmaitych truciznach i odtrutkach. Jednak część jego natury będąca morskim ptakiem odleciała z powrotem na wyspę w zatoce Bahia, gdzie kiedyś lizał pachę kobiety, która nauczyła go leczyć odchodami.

Dom Francisco pochował go o świcie wśród kwiatnych klombów. Kiedy patrzył na zabłocony całun, jego smutek spowiła wilgotna mgła.

Zza muru seraju dobiegało zawodzenie kobiet, które brzmiało jak pieśń triumfalna.

Pewnego dnia przed śniadaniem przyszedł zaniepokojony doktor Brandão Ferraez i zakomunikował o przypadku żółtej febry w „brazylijskim” domu, gdzie pewna dziewczyna zabawiała kubańskiego marynarza.

Po tygodniu na wszystkich ulicach rozbrzmiewały jęki i stłumione modlitwy. Choroba zabrała setki czarnych i Mulatów, oszczędzając jednak białych. „Brazylijczycy” wywieszali z balkonów purpurowe tkaniny, a wychodząc na dwór, przywiązywali pod nosem gąbki nasączone octem. Isidoro i jego przyrodni brat Antonio palili ogniska, żeby zatrzymać zarazę, ale ogień przeniósł się na dach i kilka domów doszczętnie spłonęło.

Zaraza pochłonęła dziesięciu Da Silvów, a jej ostatnią ofiarą padł lekarz.

Po jednej z wizyt wrócił do domu z zapadniętymi policzkami i pożółkłymi białkami oczu.

– Nie dotykaj mnie! Nie podchodź! – powiedział i położył się do łóżka.

W południe wił się na podłodze, bluzgając czarnymi jak kawa wymiotami. Pod wieczór zerwała się burza, napłynęły chmury koloru błota. Palmy pochylały się i szumiały. Lekarz leżał spokojnie przez godzinę, potem krzyknął, jak przebity strzałą, i umarł.

W tłumie patrzącym, jak z apteki wynoszą ciało zmarłego, stała pewna rozhisteryzowana kobieta, która straciła wszystkie dzieci. Kiedy tylko spostrzegła Donę Lucianę, krzyknęła:

– Wiedźma!

Tłum potłukł pojemniki z lekarstwami, a popiersie Hipokratesa z odtrąconą głową wylądowało na ulicy.

Dom Francisco usłyszał wrzawę i domyślił się przyczyny. Pół godziny później, z pomocą służącego, wnieśli do domu zakrwawione zawiniątko w łachmanach i położyli na łożu z Goi.

Przez dziesięć dni Dona Luciana oscylowała między życiem a śmiercią, ale chciwie jadła

wszystko, co jej podawano. Kiedy wydobrzała na tyle, by rozpoznać swego wybawiciela, tak mocno zacisnęła usta, że musieli ją karmić siłą.

Ilekcio Dom Francisco wchodził do sypialni, Dona Luciana kurczyła się niczym ssak prowadzący nocny tryb życia, nagle wyciągnięty na słońce. Dopiero po wielu tygodniach przyzwyczaiła się do jego obecności i pewnego razu, w ciągu jednej nocy, człowiek, który był diabłem, zamienił się w jej anioła stróża.

Dom Francisco starał się jej nie dotykać, nawet rękawów czy dłoni. Połączywszy swoje żalosne losy, zaczęli czerpać otuchę z własnego towarzystwa i stali się dla siebie niezastąpieni.

Pozwolił jej zamieszkać w Simbodji. Spała w łóżku, a on na kanapie z palisandru w pokoju obok. Kazał zamurować drzwi seraju, siedzieli w domu i nie spotykali się z nikim.

Żyli jak mąż i żona, którzy ślubowali czystość. Dona Luciana ustawiła ołtarz i umieściła wazon z białymi kwiatami po obu stronach kapliczki z Ostatnią Wieczerzą. Pilnowała, by zawsze paliła się świeca, i obiecała, że ocali jego duszę.

Czytała ewangeliczne opowieści o Chrystusie, który przebaczył grzesznikom, a słońce padało na jej wdowi strój i Iniane włosy. Na niezwykle białej szyi nosiła na aksamitce medalik z kosmykiem mężowskich włosów.

Dom Francisco słuchał, a Zé Piranha siadał mu na ramieniu i wpychał mu dziób do ucha. Kiedy ptakowi wypadły pióra, Dom Francisco gładził go po łebku i mówił cicho:

– Biedny ptak! Chce wrócić do domu.

W porze deszczowej ataki reumatyzmu się nasilały i Dom Francisco całymi tygodniami nie mógł się ruszać. Dona Luciana kładła mu na kręgosłup gorące kompresy; знаła mnóstwo kuracji, ale straciła lekarstwa w pożarze apteki.

Kobiety z Simbodji nienawidziły rywalki. Nawet podczas ulewnego deszczu Jijibou dobijała się do drzwi, żądając, by ją wpuścił. Wszczynała taki rwetes, że Dom Francisco posyłał po Isidora z prośbą, by uspokoił matkę. Po raz pierwszy syn zaskarbił sobie wdzięczność ojca.

Ze wszystkich swoich dzieci troszczył się tylko o siostry bliźniaczki, urodzone przez Mulatkę, która umarła. Umbelina i Leokadia wyrastały na piękności.

– Pozwól im z nami zamieszkać. Bliźniaczki przyniosą nam szczęście – powiedziała Dona Luciana i obdarzyła dziewczyny macierzyńską miłością.

Szyła im białe sukienki z falbankami i wplatała atłasowe wstążki we włosy. Nauczyła je haftować inicjały na chustkach. Wspólnie wykonały podobiznę Najświętszej Pani, z szatą z piór Zé Piranhi i aureolą z piersi papugi. Często jeździli na piknik do chińskiego pawilonu w Zomai. Cała czwórka śpiewała piosenki *bandeirantes*. Dziewczyny piszczały, kiedy ojciec opowiadał bajkę o duchu, który miał włosy zamiast dłoni.

Na jednym z takich pikników Dona Luciana zapytała, czy myślał kiedyś o powrocie do Brazylii.

– Jeśli taka będzie wola boska – odparł Dom Francisco. – Oddałbym wszystko za to, żeby umrzeć w ojczyźnie.

Od tamtej pory Dona Luciana nie mogła myśleć o niczym innym. Miała mnóstwo pomysłów na wymknięcie się królewskim strażnikom, którzy teraz obserwowali ich dzień i noc. Ale Dom Francisco, człowiek czynu, był najwyraźniej niezdolny do działania. Przyciskając pięści do skroni, pytał:

– Ale jak? Jak? Jak?

Ona jednak wiedziała, że musi być sposób.

Dom Francisco nadal posiadał w Brazylii fabrykę cygar w Magarogipe, ranczo, tartak i kilka domów w mieście – wszystko to kupił jego agent, kiedy cena niewolników była wysoka. Teraz, nie bez złych przeczuc, napisał do José de Paraíza z prośbą, by kupił dla niego w Bahii dom na starość, ale błagał, by rzecz została w tajemnicy.

Sześć miesięcy później nadszedł akt własności domu przy Beco do Corto numer 1 w Barra, a także amatorski obraz, jeszcze pachnący terpentyną, przedstawiający różową willę z ogrodem schodzącym ku morzu.

Kiedy rozpakowali obraz, Dona Luciana klasnęła w dłonie i spytała, co to za bohomyzy na niebie.

– To ptaki – wyjaśnił Dom Francisco.

W pierwszej części listu Paraízo wymieniał meble i imiona niewolników; złe wieści zostawił na koniec.

Z powodu niedopatrzienia barona Paraíby obywatelstwo Dom Francisca wygasło. Gubernator Bahii odrzucił jego wniosek o paszport. Handel niewolnikami stanowił obecnie przestępstwo kryminalne; aresztowaliby go natychmiast po zejściu na ląd.

Mimo to – zapewniał Paraízo – nie ma powodu do niepokoju: datek na cele dobroczynne z pewnością załatwiłby sprawę. Minął rok. Kiedy „Jornal da Bahia” doniósł o otwarciu szpitala dla marynarzy, Dom Francisco przeczytał tekst przemówienia barona, ale wśród wymienionych fundatorów nie znalazł swego nazwiska.

W kolejnych listach Dona Luciana odwoływała się do gubernatora, do barona, nawet do samego cesarza. Postanowili, że jeśli te próby zawiodą, udadzą się do Rzymu i przedstawią sprawę nuncjuszowi.

Oczami wyobraźni widziała wielki złoty kościół, chóry, anioły i światło słońca padające ukośnie na ołtarz. Zapach kadzideł już łaskotał ją w nos. Z tronu powstawała postać w bieli, unosiła dłoń w geście błogosławieństwa i mówiła:

– Wstań, Francisco! Narodź się na nowo w ciele Zbawiciela!

Czekali na wieści, ale te nie nadchodziły.

Umbelina i Leokadia bały się wychodzić z domu. Bracia przyrodni gwizdali na nie, przypierali do ścian i udawali, że król ich pragnie. Dom Francisco obawiał się o

bezpieczeństwo córek. W końcu kazał Donie Lucianie zabrać dziewczyny do ich domu w Bahii, gdzie mogłaby wstawiać się za nim, a on pewnego dnia mógłby do nich dołączyć.

Rodzina Da Silvów z radością powitała wyjazd Dony Luciany. Lecz kiedy Dona Luciana ujrzała statek na falach i łzy w oczach Dom Francisca, zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

– Nie. Nie mogę wyjechać.

W zachodzącym słońcu fale miały mleczno-złoto-zielony kolor. Łodzie wiosłowe znoszone po skarpie na plażę wyglądały jak wielkie czarne stonogi. Dom Francisco delikatnie odsunął od siebie łkające dziewczęta i zaprowadził na brzeg. Kapitanowi wręczył list do barona Paraíby, powierzający córki jego opiece. Morska piana opryskała czarną taftową suknię Dony Luciany. Obydwoje stali ramię w ramię na piasku, patrząc na brązowe ręce machające z grzbietu fali, a potem zapadające się w otchłań.

Tej nocy Dona Luciana przyjęła miłość starego człowieka.

Dwa miesiące później zasłabła i poczuła ukłucie bólu w brzuchu. Dopiero pęczniejący brzuch potwierdził to, co podszeptował jej instynkt; zawsze uważała, że jest bezpłodna.

Ciąża była trudna, a poza tym niebezpieczna dla kobiety po czterdziestce. Mimo to, po bolesnej walce, 21 stycznia 1854 roku urodziła córeczkę. Słabiutkie niemowlę ochrzczono w sypialni na wypadek, gdyby nie przeżyło.

A jednak Eugenia da Silva kurczowo trzymała się życia i chciwie ssła pierś nianki, choć w tym samym czasie matka śniła na jawie, że osuwa się do grząskiego dołu.

W końcu przyszło ułaskawienie – podpisane przez samego cesarza wyrazy uznania dla porucznika da Silvy „za wiele lat żarliwej i pożytecznej służby w Forcie São João Baptista da Ajuda”. W pierwszym przypiływie podniecenia nie zrozumieli treści listu od barona Paraíby, wyliczającego długi Dom Francisca wobec Banco Coutinho, niepowodzenie fabryki cygar, chorobę, która wybiła jego bydło, obsunięcie się ziemi oraz decyzję Stowarzyszenia Handlowego w Bahii o ogłoszeniu jego bankructwa.

– Okradli mnie – powiedział Dom Francisco i upuścił list na ziemię.

Po raz ostatni napisał do barona Paraíby:

„Proszę Cię, drogi Przyjacielu, miej dla mnie cierpliwość. Oddałbym Ci wszystko, co posiadam w Bahii, ale co powiedzieliby ludzie? Gdyby dowiedzieli się, że nic nie mam, odwróciliby się do mnie plecami. Powiedzieliby, że już nie mogę liczyć na Ciebie, najbardziej zaufanego przyjaciela i wieloletniego protektora. Proszę Cię, błagam, nie sprzedawaj moich mebli ani niewolników, ale wynajmij mój dom, żeby nie krytykowano mego życia. Błagam Cię też: zaopiekuj się moimi córkami...”

Baron nie odpowiedział na ten list. Bank ogłosił przepadek domu, pozbawiając Dom Francisca prawa wykupu hipoteki. Komornicy sądowi wywieźli meble, a dom i niewolników sprzedano na niezapowiedzianej licytacji. Licytował tylko jeden człowiek: senhor Ricardo Paraízo, który w zakupionym domu otworzył szkołę dla młodych dam.

Umbelina i Leokadia nie uczyły się jednak ani w tej, ani w żadnej innej szkole. Nie zamieszkały u rodziny Coutinho nawet w charakterze służących. Wysłano je do sławnej osoby nazwiskiem Mãe Andresinha, która nauczyła bliźniaczki zawodu na brukowanych ulicach Pelourinho.

– Kurwy? – zawył Dom Francisco do kapitana, który mu o tym powiedział. – Kurwy? Moje ukochane córki? Kurwy? – Zaciśnął pięści na stole i tłumiąc łkanie patrzył, jak bieją mu knykie.

Piętnastego lutego 1855 roku w nocy on i Dona Luciana, w przebraniu karnawałowych tancerzy, próbowali przekraść się z dzieckiem na pokład brazylijskiego statku. Noc była pochmurna, ale kiedy szli przez lagunę, wyszedł księżyc i strażnicy odprowadzili ich do Simbodji jako więźniów.

Dom Francisca pozbawiono majątku i przywilejów, chociaż pozwolono mu dalej mieszkać w pokojach, gdzie zostało tylko łóżko. Dotknięcie choćby włosa na głowie człowieka, który zawarł braterstwo krwi z królem, było zbrodnią, ale nawet synowie mówili o nim w czasie przeszłym.

W upalne dni leżał w cieniu mangowca, pozwalając małej Eugenii łąsikować po brzuchu i ciągnąć go za brodę. Niedowidział. Ciężyły mu dłonie, oplecione siatką szarych żył.

Obrywał płatki z róży albo chował twarz w kwiecie malwy. Kiedy przechodził jego stary ogrodnik, Dom Francisco otwierał usta, żeby warknąć rozkaz, ale słowa grzęzły mu w gardle. Wsłuchiwał się w wycie morza i walił głową o ścianę. Nocą widział rzędy przekrwionych oczu wpatrujące się w niego groźnie w ciemności.

Czasami całą noc spędzał pod drzewem, a o świcie nogi miał pokryte srebrzystymi smugami po ślimakach. Na skrawkach papieru wypisywał niejasne prorocтва, a Isidoro kazał służącym je zbierać, w razie gdyby zawierały informacje o brazylijskim majątku.

„W 1860 ciernie wydadzą owoce, ale na ciałach będzie mało głów. – W 1870 zabraknie głów do kapeluszy. – W 1880 niewolnicy sprzedadzą swoich panów i kupią sobie skrzydła. – W 1890 cesarz pošle statek po swego przyjaciela, ale morze się zaczerwieni, a niebo zamieni w błoto. Gwiazdy spadną jak deszcz, a statek zatonie. W 1900 Święta Stolica Piotrowa się zawali, a ulice Bahii i Jerozolimy zapełnią się ciałami”.

Dona Luciana zachorowała i w żaden sposób nie mogła mu pomóc.

W ustach miała gorzki posmak i takie bóle głowy, jakby miała jej pęknąć czaszka.

– To nic – mówiła. – To na pewno przez chmury. Gdyby tylko te chmury się rozwiały. – Próbowała się uśmiechnąć, ale wysiłek układania twarzy w uśmiechu jeszcze pogarszał ból.

Skóra zaczęła schodzić z jej rąk i nóg, zostawiając wilgotne, zaczerwienione, jęczące się plamy. Potem straciła czucie w palcach u nóg i rąk, a plamy na skórze poczerniały.

Z trudem oddychała, miała rozszerzone źrenice. Ślaniając się, dyszała do niańki Eugonii:

– Umyj mi ręce! Patrz! Patrz! Te plamy zjadają mi ręce!

W przyływach euforii chwytiała się słupków łoża, obnażała dziąsła i co sił w płucach śpiewała Alleluja!

Pewnego ranka zobaczyła, że z jej ust sączy się zielony śluz. Jak przez mgłę przypomniała sobie słowa umierającego Tapariki i wyszeptowała:

– Trucizna! – Potem dodała: – Jestem taka zmęczona.

Zapadła w śpiączkę.

Dom Francisco przywarł do jej ciała, ale grabarze oderwali go, a on zamachał rękami i zaskrzeczał jak raniony ptak.

Nigdy nie zobaczył triumfalnego uśmiechu na radosnej twarzy Jijibou. Uciekł w trzciny i przez wiele dni nikt go nie widział. Grupy poszukiwawcze go nie znalazły. W końcu pewien człowiek, wracając ze swego poletka słodkich kartofli, zobaczył w zaroślach coś niebieskiego. Rozsunąwszy gałęzie, ujrzał człowieka ze skołtunionymi włosami, na czworakach, z dużym ptakiem na ramieniu.

Kiedy przyszli po jego pana, Zé Piranha dziobnął Isidora w rękę. W końcu udało im się obezwładnić starca i przykuć łańcuchem do drzewa przy chińskim pawilonie w Zomai. Dopiero później, kiedy przestał szaleć, pozwolili mu chodzić po mieście.

Dom Francisco kuśtykał po Simbodji i krzyczał:

– Moje córki! Co oni zrobili z moimi kochanymi córkami?

Kobiety ukryły jednak małą Eugenię, żeby nie zobaczyła ojca.

Jedna z kobiet dała dziewczynce drewnianą lalkę, a kiedy zachodziło słońce, Eugenia kładła ją, owijała w szal, gładziła kawałek białego futra przyklejony do podbródka lalki i szeptała:

– Śpij, tatusiu! Śpij!

W opadających łachmanach zakradał się do fetysza Legba. Kiedy nikt nie patrzył, podkładał ofiarne muszelki porcelanek i kupował sobie coś do jedzenia. Nigdy nie dotykał resztek zostawianych przez Jijibou. Obawiał się, że mogą być zatrute.

Na plaży rozmawiał z falami. Raz nawet rzucił się w morze, ale fale wyrzuciły starca na brzeg, gdzie znaleźli go, pogryzionego przez muchy, a kraby wędrowały po jego ciele.

Pewnego dnia, dysząc z pragnienia, zobaczył króla, który szedł do niego z uśmiechem, odsłaniając przerwę między przednimi zębami. Król, znowu młody, miał na sobie różowy

strój myśliwski. Położył chłodną dłoń na czole starego przyjaciela i odkorkował tykwę z wodą.

Dom Francisco wyciągnął obie ręce po tykwę, ale właśnie wtedy ocknął się i ujrzał czarną świnię obwąchującą mu palce u nóg.

Ósmego marca 1857 roku było upalnie, a wiatr wzbijał tumany kurzu na ulicy. Isidoro da Silva z braćmi, w najlepszych frakach, wydali lunch, by podziękować Jacinto das Chagasowi za rozwiązanie problemów, jakie mieli z królem.

Powłócząc lewą nogą, Dom Francisco szedł przez Dzielnicę Brazylijską, napastowany przez bandę chłopaków, którzy pokazywali znak noża i skandowali:

– *Bom Dia, Yovo! Yovo, Bom Dia!*

Na kolanach miał strupy.

Minął gipsowego słonia nad frontową bramą. Dokuśtykał do sali bilardowej, gdzie na stole leżało kilka jego szwajcarskich pozytywek. Ponakręcał je wszystkie, aż całe pomieszczenie zaczęło huczeć od kakofonicznych dźwięków.

Drzwi jadalni otworzyły się i przed Dom Franciskiem stanęli synowie. Stary człowiek patrzył na twarze, które ukazały się w drzwiach. Niektórzy zatknęli serwety za kołnierze. Jacinto przeprosił pozostałych, po czym się wymknął.

Stary człowiek płakał. Łzy ciekły po zmarszczkach i wsiąkały w błoto zaschnięte na brodzie. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale dolna warga zwiśla bezwładnie, muzyka wirowała mu w głowie, kiedy wytoczył się z sali na słońce, kurz, jastrzębie, mrok i nicość.

6

Właśnie to przypomniała sobie Mama Wéwé, kiedy umierała.

Przypomniała sobie łachmany, kolana pokryte strupami i szybkie, spiralne cienie na ziemi. Kobiety zawodziły, a w powietrzu unosił się swąd spalenizny. Ludzie palili plony i trzciny. Krzesła ustawili na stole, żeby dusza zmarłego nie miała na czym usiąść, bo gdyby choć raz usiadła, zostałaby tam na zawsze.

Mama Wéwé nie wiedziała, czy pamiętała – a może później jej opowiedzieli – o głębokim smutku króla. Ludzie połączeni braterstwem krwi, którzy odchodzą do Wielkiego Domu, odchodzą razem. Może król wiedział, że umrze przed upływem roku.

To samo dotyczyło zawodzących amazonek:

– Nie. Nie. Nie. To nie lampart go zabił. To nie bawół go zabił. To Noc. Zabiła go Noc!

Mama Wéwé widziała jednak wyraźnie żałobników, niosących kozy i kurczaki, grabarza wyrzucającego łopatą ziemię przez okno sypialni, beczkę rumu – to Antonio wpadł na pomysł, żeby pochować zmarłego w beczce rumu – wreszcie ogoloną siwą głowę i kawałki kapoku wetknięte w nozdrza.

Znowu otaczali ją skuleni ze strachu mężczyźni i zacięte, fanatyczne twarze kobiet: to nie miał być chrześcijański pogrzeb.

Ktoś ją podniósł, żeby po raz ostatni spojrziała na głowę podskakującą w beczce, na pochlipującego chłopca i dziewczynkę. Kiedy nadszedł kapłan z nożem, postawiono ją z powrotem na ziemi.

Potem biegła coraz szybciej wilgotnym czerwonym tunelem, u którego wylotu nie było światła. Otworzyły się drzwi. Chłodny podmuch owionął jej twarz. Mulat w białym garniturze wyminął ją, odwracając twarz ku ścianie.

Weszła do wysokiego niebieskiego pomieszczenia, pełnego zwierciadeł i złotych filarów. Kolacja dobiegała końca. Człowiek siedzący u szczytu stołu wstał. Miał rude włosy i oczy koloru paciorków sprzedawanych przez kobiety na targu.

– Długo czekałem – powiedział, wyciągając przed siebie dłonie.

Okrzyki dotarły do uszu podpułkownika Zossoungba Patrice w jego gabinecie w siedzibie

Sûreté Nationale. Spodnie munduru miał mokre od potu. Przerwał sporządzanie listy potencjalnych zdrajców. Prezydent kończył przemówienie radiowe:

Zwycięstwo dla Ludu!
Chwała dla Ludu!
Władza dla Ludu!
Gotowi na Rewolucję!
Gotowi na Produkcję!
A walka toczy się dalej!

Na ścianie wisiały kajdanki i połamana gitara. Drwiąc z ukrzyżowania, przybito też do ściany wypchaną wiwerę, z tylnymi łapami przygwożdżonymi razem z ogonem i rozpostartymi przednimi łapami.

Znad biurka patrzyła pokryta bliznami twarz prezydenta.

Podpułkownik wstał i zrobił gest, za który, gdyby ktoś go zobaczył, wyładowałby w więzieniu.

Potem zaczął chodzić tam i z powrotem po skrzypiącej podłodze, machając do wyimaginowanego tłumu i miażdżąc karalucha wojskowym butem.